Nr. 196. Lwów — Wtorek dnia 26 Sierpnia. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w Anglii i Austryi miesięcznie 2 k. 20 h [illegible]
[illegible]
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 h.
Numer bieżący we Lwowie . . . 8 h.
na prowincyi . . . 10 h.
Numer z przeszłości [illegible]
Wszelkie ogłoszenia prywatne [illegible]

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i przedpłatę miejscową przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy wiersz petitowy albo jego miejsce 12 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem " " 6 h.
koresp. prywatne " " 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy.
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Zefiryny P. Maksyma W. | Jutro: Przen. św. Kazim. Michcasza Pr.
Adres Redakcyi i Administracyi: **Lwów, ul. Sykstuska l. 45.**
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca o g. 5 m. 16 | Zachód „ „ 6 m. 44
Długość dnia godzin 13 minut 28 | Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Czas odnowić przedpłatę
Wynosi ona na prowincyi:
Miesięcznie 2 K. 20 h.
Kwartalnie 6 „ 60 „
Półrocznie 13 „ 20 „
Rocznie 26 „ 40 „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h.
Administracya Przeglądu.

Krytyka hakatyzmu.

Na butne i urągliwe krzyżactwo przychodzi czasami taka chwila, kiedy ogarnia je jakiś niepokój o swą przyszłość, a wtedy dreszcz po niem przebiega i poczyna ono wytykać sobie swoje błędy, — tylko błędy, nigdy zaś zbrodnie, bo żeby do nich się przyznać, trzeba już być na drodze do poprawy, a o niej ono nigdy nie myśli. Taka właśnie chwila niepokoju przyszła na nie teraz, a są do tego powody dość liczne, jak na teraźniejsze ogórkowe czasy. Naczelny admirał Stanów Zjednoczonych p. Tyler, zalecając w senacie ogromne powiększenie floty, dowodził, że wojna Stanów z Niemcami jest nieunikniona, albowiem cesarstwo niemieckie wyraźnie się przygotowuje do pogwałcenia doktryny Monroego, mianowicie w interesie swego panowania na morzach, na których wedle słów cesarza Wilhelma spoczywa przyszłość Niemiec, dąży do zaboru duńskich wysp w Antyllach, a może nawet Wenecueli. Nietyle jednak ta mowa p. Tylera, ile wrażenie, wywołane przez nią w Stanach, przekonało publiczność niemiecką, że w Ameryce północnej nie cieszy się ona najmniejszą życzliwością. W dodatku echo tej mowy odbiło się w Anglii w sposób obraźliwy dla Niemiec, bo cała prasa londyńska przyklasnęła wywodom pism amerykańskich i jęła na różne sposoby powtarzać zdanie *Timesa*, iż „Niemcy są szkodnikami, których inne narody powinny w interesie cywilizacyi poskromić wspólnemi siłami“. Tyle rozgoryczenia powstało z tego powodu w Niemczech, że król Edward, pragnąc je usunąć, listem wyjątkowo serdecznym zaprosił do siebie w gościnę cesarza Wilhelma. Lecz nie przebrzmiał jeszcze ten poswark, aż tu niespodziewanie odezwał się głos francuskiego ministra wojny jenerała André u stóp pomnika, który miasto Villefranche wzniosło żołnierzom poległym w roku 1870ym. Był to głos, jakiego we Francyi dawno już nie słyszano. Wzywał on „mścicieli nigdy niezapomnianej krzywdy francuskiej“, i wśród oklasków słuchaczy pytał orła, siedzącego na pomniku, kiedyż mu obcięte skrzydła odrosną? Wprawdzie utrzymują korespondenci, piszący o tej uroczystości w Villefranche, że jenerał André pozwolił sobie na taką odwetową mowę jedynie w tym celu, aby odwrócić uwagę Francuzów od barbarzyńskich zamachów pana Combes na wolne szkoły, niemniej jednak rozjątrzyła ona zabliźnioną ranę — i oto zaczęły się we Francyi rozpamiętywania „bolesnej rocznicy“ bojów pod Rezonville, Gravelotte i St. Privat, po których los Alzacyi i Lotaryngii był już zdecydowany. Te rozpamiętywania są cierpkie i bardzo podniecające, świadczą one, że ostatecznie nic nie zapomniano we Francyi, a musiały sprawić wrażenie nawet na dygnitarzach berlińskich, skoro wyasygnowano 2,500.000 marek na zaopatrzenie twierdz w Strasburgu i Metzu.

Te wypadki, a oprócz nich zagadkowa postawa Włoch, które teraz siedzą na dwóch stołkach, oraz zupełna niepewność, co nastąpi po wygaśnięciu traktatów handlowych, których na czas niepodobna odnowić z powodu matni, w jaką wpadły Niemcy przez swą taryfę celną — te, powiadamy, wypadki nawiewają na prasę niemiecką posępne o przyszłości myśli. *Kreuz Zeitung* streszcza je w tych słowach: „Cesarz po powrocie z Rewlu powiedział w Düsseldorfie, że wytworzyły się w Europie piękne pokojowe widoki, które zapewne długo się nie rozwieją. To samo mówił Napoleon III na miesiąc, a minister jego Olivier na trzy dni przed wojną“.

W takiem-to usposobieniu krytykuje prasa niemiecka wszystkie czyny swego rządu i owe „skrzydlate słowa“ cesarza, owe grzmiące hasła, które zawsze kogoś podrażnią, zawsze Niemcom przysporzą wrogów.

Do rzędu tych krytyk zaliczamy ostre potępienie polityki antipolskiej przez wybitnego pruskiego pisarza Karola Jentscha w rozprawie, która pod tytułem „Die preussische Polenpolitik“ pojawiła się w sierpniowej książce miesięcznika *Politisch-Anthropologische Revue.* Ten autor sam się rekomenduje jako nieprzyjaciel naszego narodu, który — jak on się wyraża — jest mu po prostu wstrętny, a zdatny tylko na niewolników rasy germańskiej. Jentsch tak dosłownie powiada: „Niemcy są w tem szczęśliwem położeniu, że w sąsiadujących z nimi zachodnich Słowianach mają naturalnych niewolników, którymi mogą się rozporządzać“. Powinni zaś rozporządzać się rozumnie, aby był dla „narodu panów“ pożytek. Ten naród nie może się rozszerzać ani na zachód, ani ku południowi, od północy zaś morze zamyka mu drogę. Ma tylko wschód otwarty przed sobą i musi go opanowywać, gdyż zamiera i upada ten naród, który ustawicznie nie zdobywa sobie nowych obszarów. Na nich powinni się Niemcy rozsiadać i jako panowie władać ziemią, cieszyć się słońcem, powietrzem, niebem błękitnem, a Słowian zaprzęgać do pracy w fabrykach i kopalniach. Niech oni będą niewolnikami, jeżeli zaś który z nich zechce wznieść się na wyższy szczebel ludzkości przez zlanie się z Niemcami, można mu przez litość nie przeszkadzać. Ale germanizacya ich, zwłaszcza przymusowa, to ekonomiczna niedorzeczność, bo jak można być „narodem panów“ bez niewolników? — to również niedorzeczność historyczna, bo gwałtem niepodobna nikogo przenieść z rasy niższej do wyższej, — to wreszcie niedorzeczność polityczna, bo ostrzegła Słowian, zachęciła ich do walki, utrudnia więc Niemcom pochód na wschód.

Taki jest punkt wyjścia pisarza z „narodu panów“. Rozpatrując się z tego stanowiska w rezultatach pruskiej polityki antipolskiej, widzi on same niepowodzenia niemieckie. W Wielkopolsce była hulaszcza szlachta, fanatyczne duchowieństwo i ciemny, ale oddany Prusom lud. Te trzy „kasty“ nie miały nic wspólnego, a więc w Wielkopolsce nie było narodu. Lecz rząd zaatakował religię i język — to dwoje, z czego się stał cement, łączący owe „kasty“. Religia, gdy się nią rząd opiekuje, oddaje mu znakomite usługi, a gdy na nią nastaje, staje się jego potężnym wrogiem, który potrafi każdą moc skruszyć. Język, dopóki go się szanuje, jest czynnikiem biernym w polityce, ale skoro jest gwałcony, zmienia się w niezdobyty szaniec obronny. Wbrew najprostszym zasadom pedagogiki, zmuszono Polaków uczyć się po niemiecku i powiedziano, że w tem nie ma naruszenia konstytucyi, bo ona nic o tem nie mówi, że każdy ma prawo uczyć się w swym ojczystym języku. Ależ właśnie konstytucya o tem nie mówi jedynie dlatego, że używanie własnej mowy w kościele i szkole jest prawem tak naturalnem, jak oddychanie powietrzem. Co jest wrodzonem prawem, tego konstytucya nie potrzebowała nadawać. Ucisk religii i języka złączył w Wielkopolsce „kasty“, stworzył z nich jeden naród, który cały stoi na obronnym szańcu, nabiera sił, hartu, doświadczenia, odrazy do krzywdzicieli, przeciw którym nigdy nie zawinił, bo ruchawka w r. 1848ym była wywołana nie narodowym, ale ogólno-europejskim rewolucyjnym prądem. Niezwalczony opór Polaków drażni germanizatorów, więc oto w nierozsądnem zaślepieniu tworzą oni takie haniebne zajścia, jak wrzesińskie. W walce z matkami i dziećmi niepodobna zwyciężyć, ale łatwo się zhańbić. Dzieci, które już wyszły z wieku szkolnego, a nie chciały odpowiadać z religii po niemiecku, zatrzymano na rok w szkole, jako jeszcze niedojrzałe. Owszem, one już zupełnie dojrzały, skoro rozumieją niesprawiedliwość i opierają się jej, choć wiedzą, że będą za to ciężko ukarane.

Tak, potępiając hakatyzm, musi podnieść Jentsch dzielność naszego narodu. Jakże sam sobie przeczy, gdy taki naród nazywa narodem niewolników!

Okólnik rosyjskiego rządu

Minister spraw wewnętrznych Plehwe zawiadomił cyrkularzem wszystkie władze państwowe, że badanie przyczyn niedawnych chłopskich zaburzeń w wielu południowych i wschodnich guberniach wykazało niezbicie, iż istnieją w państwie „zorganizowane żywioły przewrotu“, które wśród ludu prowadzą ciągłą propagandę antirządową i antispołeczną. Z tego powodu rząd przedłużył trwanie „największej ochrony“ (to znaczy tego, co się powszechnie nazywa stanem wyjątkowym), nadto zaś nakazuje gubernatorom i innym administratorom równego z nimi stanowiska wykonać wszystkie te zarządzenia, które ministeryum zaleciło w kilku ostatnich latach, które jednak albo nie zostały wykonane, albo poszły w zapomnienie. — Na mocy tego okólnika gubernatorowie rozkazali urzędom policyjnym mieć na oku wszystkie osoby, przybywające na wieś z miasta, powoływać je do protokołów, w których powinno być zapisane do kogo przyjechała dana osoba, jakie są jej familijne stosunki, jakie środki do życia, czem się stale trudni, po co przybyła na wieś i jak długo myśli zabawić. Następnie policya powinna się przekonać, czy badana osoba zeznała prawdę i czy się tak zachowuje, jak wynika z celu, dla którego przebywa na wsi. Zwłaszcza policya jest obowiązana baczyć, aby „obce osoby nie szastały się po wioskach i nie wdawały się w dysputy z chłopami“. Niemniej surowo zaleca się policyi, aby przekonała nauczycieli, nauczycielki, lekarzy ziemskich, felczerów, guwernerów, których właściciele dóbr sprowadzają do swych dzieci, że oni oprócz swych obowiązkowych stosunków z chłopami, nie powinni z nimi utrzymywać żadnych innych. Poleca się wreszcie pilnować, aby wszyscy posiadali paszporty i bez wizy w nich nie wydalali się ze „stanu“ (Stanem nazywa się część powiatu, znajdująca się pod administracyjnym zarządem policyjnego komisarza, który się nazywa „stanowym prystawem“).

Bardzo znać niebezpieczną stała się propaganda owych „zorganizowanych żywiołów przewrotu“, skoro o ich istnieniu publicznie głosi rząd rosyjski, który zazwyczaj nie pozwala o tem mówić nawet prywatnym osobom, bo w istnieniu takich żywiołów widzi obrazę autokratyzmu, a ubliżenie czynownictwu. Minister Plehwe powiedział w swym okólniku, że „główną przyczyną“ chłopskich zaburzeń była antirządowa i antispołeczna agitacya i dalej mówił tylko o tej przyczynie. Ale jeżeli ona jest główną, to oczywiście są i drugorzędne, o których jednak minister nie wspomniał. Łatwo się ich domyśleć. Głód prawie coroczny, ogromne rozpanoszenie się lichwy, o czem ciągle piszą rosyjskie dzienniki, ostre ściąganie podatków, które wprawdzie są bardzo małe, za wielkie jednak dla ludzi, którzy nic nie mają, wreszcie surowe prześladowanie sekt, odpadłych od prawosławia — oto są podług rządu widocznie drugorzędne, naszem zaś zdaniem główne przyczyny fermentu chłopskiego. Stan wyjątkowy i wszelkie policyjne prezerwatywy nie usuną tych przyczyn, a więc nie uspokoją ludu. Żywioły przewrotu, choćby nie wiedzieć jak tępione, nie utracą podatnego dla się gruntu. Trzeba reform ekonomicznych i politycznych, któreby spętanemu narodowi rozwiązały ręce do pracy.

List z powiatu zaleszczyckiego.

Otrzymujemy od jednego z ziemian w powiecie zaleszczyckim następujące pismo:

„Jedoch der schrecklichste der Schrecken,
„Das ist der Mensch in seinem Wahn...
„. . . . da werden Weiber zu Hyänen
„Und treiben mit Entsetzen Scherz,
„Noch zuckend, mit des Panthers Zähnen,
„Zerreissen Sie des Feindes Herz“.

Mieliśmy niestety sposobność przekonać się, ile prawdy tkwi w tych słowach niemieckiego wieszcza. Jak orkan szalony, przeleciała przez całą prawie wschodnią Galicyę burza strejkowa, wywołana przez ludzi niesumiennych, przez wrogów ziemiaństwa polskiego, wrogów wszystkiego, co tylko nie jest ruskie. Straszne są tłumy ludu na pół dzikiego, nie darmo nazywano go swego czasu czarniawą, o wiele sztraszniejsze jednak są szalejące kobiety. Widzieliśmy to na własne oczy. Jak hyeny rzucały się przedewszystkiem kobiety, z drobnemi dziećmi, rzucały się na wojsko i na obcych robotników — wrzeszcząc, płacząc, prosząc, grożąc, przeklinając. Skakały do ócz żołnierzom, rzucały się im na szyję i zawisały na nich całym swym ciężarem, aby w ten sposób uniemożliwić wszelkie ich ruchy. Lud nasz ruski, w gruncie rzeczy dobry, jest jednakowoż tak pochopnym do buntów i awantur, że jak iskierka, która padnie na kufę z naftą, wywołuje zaraz wybuch i pożar, tak i u chłopa lada podszept wystarczy, by bez zastanowienia pędził na oślep, sam nie wiedząc gdzie i po co. Zupełnie tak samo, jak stado owiec, które stoi nieruchome dopóty, dopóki jedna z nich się nie ruszy — a gdy jedna się wyrwie, wszystkie już za nią pędzą na oślep.

Niestety, podnieść muszę, że i pomiędzy szlachtą, właścicielami i dzierżawcami, spostrzedz się daje pewien zamęt i brak jasno wytkniętego planu działania. Dopóki trwał strejk, było wielkie larum, płacz, narzekanie i obietnice, że w przyszłości już będzie inaczej, że nikt się nie da więcej tak z nienacka zaskoczyć i t. p. Ale pogodzono się na snop tańszy, na robotnika droższego i już nic więcej nie robimy, każdy chce mieć spokojną głowę i nie myśli o przyszłości. Oto nasza zapobiegliwość i energia nasza! Wszak już do tej pory płaciliśmy kolosalne ceny za robociznę — teraz, mając nóż przyłożony do gardła, podwyższyliśmy je jeszcze o 15% — i czyż tak ma już pozostać? Strach mimowoli ogarnia na samą myśl, że bardzo wielu jest takich ziemian, którzy zostawią wszystko w tym stanie rzeczy, jaki wytworzyła nikczemna agitacya i pocieszać się będą starem przysłowiem: „Niech będzie jak bywało“. Niestety, już nie jest tak jak bywało, bo sam robotnik ruski obalił to wszystko, chcąc nas zniszczyć i chcąc się mścić za to, że panowie przez 30 lat taili jakiś nieistniejący ukaz cesarski. Ale pominąwszy już to, że sam robotnik ruski obalił dawny stan rzeczy, niech każdy z nas wejrzy w siebie i zapyta się, czy nie ma pewnych obowiązków względem Polaków-chłopów żyjących w tej części kraju. Poseł Artur Cielecki wspomniał wprawdzie, że miał przyjemną sposobność skonstatować, iż chłop-Polak sam chciał usługi swoje dworowi ofiarować. Być może, że były takie wypadki, ja jednak twierdzę, że tacy polscy chłopi to wyjątki — a wyjątki dlatego, że polscy chłopi w Galicyi wschodniej są całkiem zruszczeni. Toż oni pacierza po polsku odmówić nie umieją, swej mowy ojczystej polskiej nie znają! Jest wszakże na to rada a bardzo prosta: Oto niech każdy dwór sprowadzi choćby tylko po 4 lub 5 rodzin mazurskich do każdej wsi, a ponieważ nasi chłopi chętnie każdej nowości się przypatrują, przeto i tym przybyszom będą się zruszczeni polscy chłopi przypatrywali, będą naśladowali ich mowę i obyczaje, sami będą powoli garnąć się do swoich „krajanów“ mazurów, poznają lepiej swoją ojczystą mowę, swoją historyę i w krótkim czasie odżyje zruszczony dziś kompletnie lud polski. Sprowadzeni przez nas na fornali Mazurzy będą mieli prócz roboty w polu także bardzo szlachetne uboczne zajęcie, a mianowicie oświecać i pouczać swoich rodaków. Tylko z Mazurem można coś podobnego zrobić, bo on jest tęgim robotnikiem i dobrym Polakiem — i taki rodzaj misyj mazurskich we wschodniej Galicyi może nadspodziewane rezultaty przynieść. Wobec zaś Rusinów i ich prowodyrów misya nasza skończona.

Chcieliśmy tylko zgody, tylko ich dobra, i zapominaliśmy przytem często o własnej osobie; oni nas zaczepili, oni okazali się judaszami, z nimi rachunki ustały, jakkolwiek biedny chłop ruski będzie miał i nadal zawsze we mnie swego przyjaciela. Wobec tak ohydnej niewdzięczności, jaka nas od nich spotkała, możemy za to, co do tej pory się stało, zawołać chyba tylko: „Wybacz im Ojcze, bo nie wiedzą co czynią“. Ale te słowa odnosić się mogą tylko do ciemnego ludu ruskiego, nie zaś do inteligentnych Rusinów, ani też do kleru ruskiego. Oni pierwsi otworzyli nam oczy, my zaś Polacy pokażmy, czem być potrafimy, gdy potrzeba, okażmy, że nie pozwolimy wydrzeć sobie z rąk ziemi przesiąkniętej krwią naszych przodków, ziemi, której w ostatnich już czasach nasi ojcowie i dziadowie pilnowali jak oka w głowie, a będziemy mieli, jeżeli już nie uznanie od ogółu, to bodaj to wewnętrzne zadowolenie ze spełnionego obowiązku narodowego, że nie daliśmy naszym polskim chłopom się zruszczyć, żeśmy wczas się opamiętali. Oby ta prośba moja nie poszła znowu w zapomnienie, ani nie została zlekceważoną, jak to przed laty miało miejsce z nawoływaniem posła Cieleckiego, które miało zaledwo kilku zwolenników, a które się dzisiaj sprawdziło. Gdy wspólnemi siłami iść będziemy pod hasłem „Maryo! Królowo Korony Polskiej“ praca pójdzie nam raźniej i będzie skuteczną. Miejmy się na baczności, bo nawet duchowni przywódcy ludu ruskiego nie kryją się ze swą nienawiścią do nas. Pewien xiądz, zażywający wielkiego miru wśród kleru ruskiego oświadczył mi kategorycznie, że wszystko co polskie, musi być jest i będzie zawsze przez Rusinów znienawidzone. Oto są słowa xiędza ruskiego i to nie tylko xiędza świeckiego, ale niestety zakonnika Bazylianina zreformowanego.

My bądźmy szlachetniejszymi, takimi, jakim był zawsze i wszędzie naród polski, objawy nienawiści przyjmujmy pogardliwem milczeniem, sami zaś nie chowajmy urazy, lecz przeciwnie, w razie potrzeby pomóżmy i Rusinowi, jeżeli na to zasługuje.

Co się tyczy jeszcze nas ziemian, mimowoli nasuwa mi się refleksya, że powinniśmy się uczyć solidarności od żydów. Oto w mojej okolicy dzierżawcy lub właściciele żydzi jedni drugim postanowili pomagać maszynami. Maszyny mają ich folwarki kolejno obrabiać, czyż i my nie moglibyśmy takiego sposobu obmyślić? Może nie jeden z nas nie jest w stanie kupić sobie własnej maszyny, a czyż nie byłoby to po chrześcijańsku, gdyby sąsiad sąsiadowi pomógł naturalnie za stosownem wynagrodzeniem? Jeszcze raz powtarzam, że boję się, aby o ile było dużo gadaniny przed miesiącem, o tyle teraz wszystko nie ucichło. Mam nawet podstawy do takich obaw. Ileż to na pierwszym zjeździe ziemian w Czortkowie było planów, projektów, skarg, lamentów, na drugim odbytym w Buczaczu już tylko poło-

---

36)

BLANKA HALICKA.

Obok szczęścia

Powieść

(Ciąg dalszy).

Lecz do tego szczęścia on potrzebnym jej był, jak potrzebnem i koniecznem jest człowiekowi powietrze do życia. Jak roślinie światła i słońca, tak jej trzeba było ciągłej, nieustannej jego obecności.

W tej chwili wydało jej się, jakby w sobie, w duszy własnej, usłyszała śmiech jakiś szyderczy.

Serce gorące śniło i rwało się choćby do cienia, choćby do cząstki szczęścia, a rozum zimny, dziwnie w tej chwili trzeźwy, nieubłaganie logicznie mówił jej, że to marzenia tylko, któremi dobrowolnie łudzi się sama, piasek, który własną ręką sypie sobie w oczy, żeby nie widzieć nagiej, nielitościwej prawdy:

„Nie łudź się marzeniem, niepodobnem do spełnienia, nie zwodź siebie samej obrazem spokojnego, czysto przyjacego stosunku.

Stosunek taki między tobą a nim niemożliwy. Kochacie się... rwą się ku sobie dusze wasze i serca, wyciągają się ramiona do uścisku i usta do pocałunków. Sama dobrowolnie oszukujesz siebie. Zaczniesz od idealnej miłości, a skończysz na tem, na czem skończyło tyle innych, na które dotąd patrzyłaś z góry, z całą pogardliwą wyższością kobiety uczciwej!“

I przemknął przed nią obraz życia pełnego trwogi, kłamstw i wykrętów, ciągłej potrzeby ukrywania się przed ludźmi, a wstydu i strasznych wyrzutów sumienia przed Bogiem i sobą samą.

Stałaby się równą takiej Żelskiej, równą temu człowiekowi, do którego przykuła ją chwila kapryśnego rozdrażnienia, którym dotąd pogardzała tak wyniośle.

Nigdy! Nigdy!

A gdyby tak rzucić wszystko, rzucić ten świat błyskotliwy i próżny, tego męża, z którym nie wiąże jej nic, i uciec z tamtym na kraj świata, żyć tak we dwoje, zdala od ludzi i kochać się, kochać! Pić pełną piersią z czary szczęścia, zapomnieć o wszystkiem na ziemi i na niebie, co nie było nim i jego miłością, mieć choć kilka lat, choćby rok jeden rozkoszy i szału — a potem... niech się co chce dzieje, niech nawet śmierć przyjdzie zabrać ją w pełni młodości, wpierw nim zwiędnie ich szczęście, zanim on ją kochać przestanie.

Ale potem, cóż?

Czyż niema Boga, niema sprawiedliwości — i kary?

Zadrżała.

Uczucia jej religijne, niegdyś bardzo żywe, ostygły były już znacznie w życiu światowem, które wiodła, i w końcu ograniczyły się prawie tylko do dość oziębłe, lecz mimowoli z ścisłą zawsze dokładnością wykonywanych przepisów kościelnych — ale mimo to, dawna wiara lat dziecinnych żyła w jej sercu, silna i stała, żadną wątpliwością niezachwiana, choć pokryta i cofnięta w głąb przez to wszystko, co w świecie wypełniało i zajmowało jej myśli.

Zadrżała.

Czyż za taką winę mogłoby nie być kary, i to kary takiej, któraby właśnie dotknąć ją mogła w tem, co jej było najdroższem, w tym człowieku, dla którego chciała potargać wszelkie Boskie i ludzkie prawa?

Kara przyszłaby z pewnością, niezawodnie, prędzej czy później uderzyłaby w nią, jak grom.

On przestałby ją kochać, znużyłby się jej miłością — lub, co gorsze stokroć jeszcze, mogłoby spotkać go jakie nieszczęście, mogłaby stracić go.

I ten lęk straszny, to głuche, a silne przeświadczenie, że ulegając tej miłości, sprowadziłaby na niego zgubę, w jednej chwili odpędziło daleko myśli buntownicze i szalone.

Cóż więc? Odepchnąć go od siebie? Własnemi rękami po raz drugi znów rozbić to szczęście, które jak kwiat czarodziejski wykwitło pod jej stopami tak nagle i niespodzianie?

— Nie mogę, nie mogę! — jęczał żal w jej duszy. — Nie potrafię! Nie będę wstanie chłodem i obojętnością oddalić go od siebie! Zresztą zdradziłam się przed nim już wczoraj. Byłam jak nieprzytomna. Musiał widzieć w moich oczach, poznać w drżeniu mego głosu, że kocham go bardziej może jeszcze niż wtedy... I znów teraz mielibyśmy się rozstać! I to na zawsze... na zawsze już! O Boże! Boże!

Usiadła na sofie, oparła o poręcz rozpaloną głowę, i z goryczą rozmyślała o dawnych czasach, kiedy była jego narzeczoną, kiedy mogła kochać go z dumą i spokojnym sumieniem.

Jedna marna sprzeczka, chwila uniesienia i wszystko stracone.

Dwa życia zmarnowane — a teraz, dwie dusze ludzkie tak bliskie upadku i wstydu!

— Wszystko to z mojej winy! Wszystko z winy mojej przeklętej pychy i uporu — myślała zaciskając ręce nerwowym ruchem, a poczucie to przepełniło ją taką rozpaczą, że byłaby chciała krzyczeć w głos z bólu.

W końcu łzy długo tłumione popłynęły strumieniem, i cicha, bolesna rezygnacya zaczęła wstępować w jej duszę wzburzoną.

— Takam słaba! Takam nędzna, o Boże! Ucieknę od niego, wyrzeknę się, ale nie tyle z odrazy do grzechu, ile z obawy przed karą — i to nie ze strachu o siebie, cóżby mnie już gorszego spotkać mogło? Ale o niego, o niego jedynie, mojego Romana! Nie chcę mu przynieść nieszczęścia, nie chcę życia zmarnować, dość mu już krzywdy zrobiłam... teraz pora odcierpieć za to, i odcierpię, odcierpię, zniosę wszystko, mój Boże... nawet to, że on pomyśli, żem go nigdy nie kochała!

* * *

Dopiero następnego dnia, o trzeciej popołudniu, spotkali się Gorwiczowie przy obiedzie.

Ona była blada i milcząca, i czuła się tak znużoną i przybitą, że zaledwie całym wysiłkiem woli przymusiła się, by dziś wstać, ubrać się, i jak zwykle przyjść do stołu.

On też zdawał się być w jak najgorszem usposobieniu, oczy miał zaczerwienione niewyspaniem, co chwila ziewał głośno bez ceremonii, i za każdą przyniesioną potrawą wymyślał z gniewem na kucharza.

Miał dziś wszelki powód, aby być w fatalnym humorze, gdyż zeszłej nocy przegrał w klubie kilkanaście tysięcy rubli, a w dodatku dowiedział się, że gwiazda baletu, Paryżanka Nini, której był zapalonym i drogo płacącym wielbicielem, zdradza go z pierwszym komikiem operetki, mającym lat blisko 50 i twarz jakby z gutaperki.

Gorwiczowie jedli obiad, nie mówiąc ani słowa do siebie; tak bywało zawsze, blisko od trzech lat już.

Gdy wreszcie służący podał na srebrnej tacy czarną kawę i wyszedł z pokoju, Olga odezwała się:

— Chciałam ci właśnie powiedzieć, żebyś nie kazał drukować i nie rozsyłał zaproszeń na ten bal, który mieliśmy dać u siebie w ostatni poniedziałek karnawału, bo ja pojutrze wyjeżdżam na dłuższy czas do Sławic i nie wiem jeszcze kiedy wrócę; może aż po Wielkiejnocy...

Powiedziała to spokojnie, głosem pewnym, jakby nie przypuszczając możliwości oporu.

Mąż spojrzał na nią zdumiony.

— A to znów co za nowa fantazya? Oszalałaś, czy co? — zapytał opryskliwie, rozpierając się w krześle z impertynencką niedbałością.

Gorwicz, o ile w świecie starał się mieć wykwintne pozory, o tyle w domu, wobec żony, zachowywał się zwykle szorstko i nieraz nawet brutalnie.

Wzrok Olgi błysnął gniewem.

— Miarkuj się w swoich wyrażeniach — tu nie stajnia, ani buduar panny Nini, i przedewszystkiem usiądź przyzwoicie, bo ja inaczej natychmiast wyjdę z pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wa uczestników była obecną, już brak wszelkiej energii, brak nagłych wniosków, już tylko dwa głosy były za stanem wyjątkowym, bo wszyscy chcą mieć spokój, każdemu „dobrze" z tem, że płaci cztery razy tyle za robociznę, niż płacą w innych krajach, a jak co będzie złego w przyszłości, to wtedy będzie czas coś obmyśleć.

Co się zaś tyczy zruszczenia chłopa polskiego w Galicyi wschodniej, to uderzmy się w piersi i wyznajmy, że bardzo wielu z nas przyłożyło do tego rękę, jakkolwiek bezwiednie. Czy w święta polskie pozwalaliśmy polskim chłopom świątkować, czy posyłaliśmy ich do najbliższego kościoła na Mszę św. i kazania?

Czyśmy rozmawiali z chłopami polskimi po polsku, i czyśmy pouczali ich, że w tym języku, a nie w innym powinni mówić, bo wstyd, ażeby Polak po polsku nie umiał? Ileż to razy w uroczyste polskie święta pracują Polacy na łanach, zamiast być w kościele. Nie dosyć jednak, by chłopa polskiego zwolnić od roboty w polskie święto na to, ażeby zamiast pójść do kościoła, wałęsał się po wsi, lub spał w domu, trzeba także przypilnować raz i drugi, aby on naprawdę był w kościele, a gdy się go przypilnuje kilka razy, to on już potem sam pójdzie. Skoro tego wszystkiego nie robiliśmy, nie dziwmy się, że chłop polski zruszczył się. Ale obowiązkiem naszym jest teraz naprawić to złe. Mając trochę Mazurów i trochę Polaków, miejscowych, zruszczonych, obchodźmy i świątkujmy tylko polskie święta; innych nie jesteśmy obowiązani obchodzić, bo Kościół uczy wyraźnie, że za głową domu idzie dom cały, jakiego obrządku jest chlebodawca, do niego stosować się ma i służba. Bądźmy więc w całem tego słowa znaczeniu Polakami, pracujmy odtąd inaczej, uczmy się solidarności od żydów i myślmy nietylko o dzisiejszym dniu, ale i o jutrzejszym.

Spór o Morskie Oko.

Grac 24 sierpnia.

W piątek Węgrzy zakończyli swe wywody i sprecyzowali stanowisko rządu węgierskiego. W sobotę rozpoczął arbiter polski dr. Tchorznicki odczytywanie swego referatu, który stanowi broszurę o 65 stronicach. W przeciwstawieniu do poprzednich przemówień zastępców węgierskich, uderza w słowach dra Tchorznickiego jaknajwiększy spokój i powaga. Argumenty jego są ściśle rzeczowe i ten spokój widocznie drażni Węgrów, którzy posuwają się nawet do tego, że przerywaniami i uwagami nietaktownemi przeszkadzają mówcy. Tak naprzykład gdy dr. Tchorznicki dowodził z dokumentów, że niegdyś całe terytoryum aż do źródeł Popradu było polskiem, Lechoczky uniósł się i zawołał: „Ależ to już zbyt daleko wykracza". Podobnież gdy dr. Tchorznicki przedstawił, że Węgrzy w roku 1837 przywłaszczyli sobie dokumenty, dane im do skopiowania przez ówczesną komisyę dla uregulowania sporu granicznego, Lehoczky uczynił uwagę tak niewłaściwą, że superarbiter dr. Winkler niedwuznacznie objawił swe niezadowolenie z tego. Widząc to Lehoczky zawołał głośno: Przecież wolno mi robić tu uwagi!" Dr. Tchorznicki nie daje się ani na chwilę wyprowadzić tem ze swego spokoju.

Na posiedzeniu sobotniem dr. Tchorznicki wyczerpał większą część swego referatu. Resztę wygłosi na posiedzeniu poniedziałkowem, które rozpocznie się o 9ej rano. Referat dra Tchorznickiego jest studyum tak ściśle rzeczowem i tak nieporównanie bezstronnem, że nawet w niektórych miejscach przytacza argumenty, któreby mogły zaważyć na szali Węgrów. Pojmuje on bowiem stanowisko swe jako arbitra, tj. sędziego, który ma wydać wyrok sprawiedliwy a nie jako adwokata rzecznika, który ma z umysłu być stronniczym.

Dłużej, niż p. Tchorznicki, będzie przemawiał obrońca sprawy polskiej prof. Balzer. Zapewniał on sam, że będzie mówił kilka dni. Obrońca węgierski zaś podobno ograniczy się do mowy półtoragodzinnej. Pomimo tak licznych i poważnych argumentów, jakie przytoczono dotychczas już ze strony polskiej, Węgrzy zdają się być pewni, że sprawę wygrają.

* * *

Stanowisko Węgrów na sądzie rozjemczym.

Grac, 23 sierpnia.

Wczoraj arbiter węgierski zakończył swe dwudniowe wywody. Po relacyach, które krótką o tem przyniosły wiadomość, warto stanowisko Węgrów w tej ważnej dla nas sprawie poznać bliżej.

Na wstępie zaznaczył referent, że Węgry mają właściwie pretensyę do całego klina Galicyi, który jako Nowotarszczyzna wżyna się w terytoryum Węgier, że jednak pretensyi tej nie podtrzymują. Określiwszy przedmiot sporu, referent omówił stanowisko rządu austryackiego stanąwszy odrazu na stanowisku polemicznem, poczem przeszedł do określenia stanowiska rządu węgierskiego.

Otóż rząd węgierski twierdzi, że na spornem terytoryum ta rzeka tworzy granicę, która pod Rybami wypływa i płynąc potem ku północy i tworząc najpierw Morskie Oko, a potem Rybie jezioro, łączy się dalej z Białą Wodą i w dalszym swym biegu już bezsprzecznie Białką się nazywa; potem, że ta rzeka już od swego początku jest Białką. Ponieważ rząd austryacki stwierdza, że Białka zaczyna się dopiero od połączenia się z Białą Wodą a górny bieg tej wody nie jest Białką, lecz potokiem od Rybiego i że od Rysów w kierunku na północ aż do punktu, łączącego obie wody granicy nie stanowi owa woda, lecz łańcuch gór Żabie, to w sporze tym rozstrzygnąć należy trzy pytania:

1. Czy słusznem jest nazywać Białką potok wypływający z Morskiego Oka aż do miejsca, gdzie łączy się z Białą Wodą?

2. Czy sporne terytoryum, znajdujące się między granicami, różnie przez oba państwa przedstawianemi, przed pierwszem powstaniem sporu granicznego, więc przed r. 1824, zostawało w posiadaniu Galicyi czy Węgier, i tem samem należało do Austryi czy do Węgier?

3. Czy posiadanie spornego terytoryum i faktyczna jego przynależność do jednego lub drugiego państwa prawnie da się uzasadnić?

Na pytanie p i e r w s z e przedkładają Węgrzy następujące dowody:

a) Orzeczenie ministerstwa wojny, wypowiedziane na podstawie kart wojskowych od roku 1769.

b) Oficyalne mapy, głównie wojskowe, zdjęte w latach 1822, 1861 i 1876/77. Wprawdzie na niektórych mapach rzeka ta nazywa się potokiem Morskiego Oka, na innych znowu Białą Wodą; ale zdaniem rządu węgiergo nazwy te oznaczają tylko określenie pewnych właściwości tych wód i bynajmniej nie stanowią nazwy.

c) Oświadczenie galicyjskiego prokuratora skarbu, który w trzech procesach w r. 1791 prowadzonych przez Węgry przeciw Galicyi, a domagających się oddania całego ciągnącego się przez Białkę na zachód aż po Biały Dunajec obszaru (cały prawie obecny pow. nowotarski) oznaczył, że w tem miejscu granicę między Węgrami a Galicyą zawsze stanowiła Białka. Zdaniem rządu węgierskiego więc sama galicyjska prokuratorya skarbu sporną wodę Białką nazywała.

Na pytanie d r u g i e przedkładają Węgrzy:

a) Dowody na podstawie map, znalezionych w ministerstwie wojny, mapy oficyalne z lat 1769—1790 (wojskowe), z lat 1822, 1861 i 1876 — które nawet więcej dają Węgrom, niż ci teraz żądają. Głównie opierają się tu Węgrzy na mapach podpułkownika Seegera. Mapy te różnie przedstawiają granicę galicyjsko-węgierską; dwie z nich wskazują jednak także granicę tak, jak chce teraz Galicya, t. j. przez Żabie.

b) Oświadczenie galicyjskiego prokuratora skarbu w trzech procesach (patrz: pytanie pierwsze. — Przyp. koresp.), które stoi na stanowisku dzisiejszych żądań Węgrów.

c) Dokumenty Palocsaya, rzekomo stwierdzające, że w latach 1831, 1832 i 1833 wykonywał on prawo pasania na spornem terytoryum, i że prawo to wydzierżawił chłopom galicyjskim po 12 złr. rocznie.

d) Układ prywatny z roku 1858, zawarty między Klementyną Homolaczową a spadkobiercą ś. p. Aleksandra Palocsay-Horvatha. Na podstawie tego układu, całe obecne sporne terytoryum „pozostaje" własnością spadkobiercy Palocsaya. Ze słowa tego „pozostaje" wnosi rząd węgierski, że terytorym to musiało być własnością Palocsaya, skoro nią i nadal pozostaje. Protokół komisyi, która układ prowadziła, także rządowi węgierskiemu wydaje się ważnym, bo stwierdzić ma, że Białka w całym ciągu, z wyjątkiem Uj-Bela, jest granicą galicyjsko-węgierską.

e) Zdaniem rządu węgierskiego opodatkowanie gruntu spornego przez Austryę nie może być wykazane.

Co do pytania t r z e c i e g o czy prawnie należy do Węgier sporne terytoryum, sądzą Węgrzy, że posiadają dowody podwójne: 1) że do roku 1625 cały na zachód od Białki położony obszar (do białego Dunajca: gminy Bnogi, Białka, Bukowinka i Lesznica) należał do Węgier; 2) że sporne dziś terytoryum od wieków należało do królewsko-węgierskiej donacyi i było przedmiotem prawniczych aktów węgierskich, że więc temsamem musi (!) być obszarem węgierskim.

Ad 1. przedkładają Węgrzy kilka dokumentów prywatnych (6 sztuk). Ostatni z nich stwierdzić ma, że nowotarski kapitan Mikołaj Komorowski spadkobiercom Jerzego Palocsaya gwałtem obsadził „węgierskie" posiadłości Białka, Bnogi, Bukowinka i Lesznica.

Ad 2. przedkładają Węgrzy również 6 dokumentów (między nimi 3 dokumenty, t. zw. Łaskiego Schenkungsbriefe).

W końcu, aby udowodnić, że sporne terytoryum także prawnie stanowi część składową państwa węgierskiego, powołuje się rząd węgierski na „prowizoryczny" kataster i na kredytowe „albo" hipoteczne księgi gruntowe z r. 1853 i z r. 1858, obie jeszcze przed prywatnym układem z r. 1858; zostały one sporządzone w czasie, gdy Węgry zostawały pod polityczną władzą Austryi i nie posiadały samoistnego rządu; w r. 1876, gdy przywróconą została konstytucya węgierska, sporządzone zostały „definitywne" księgi katastralne.

Co i o czem piszą.

Korespondent petersburskiego *Kraju* odwiedził tymi dniami p. Karola Lewakowskiego, byłego przywódzcę ludowców naszych, mieszkającego w Rapperswylu. P. Lewakowski, porzuciwszy arenę polityczną, kupił sobie kawał ziemi nad brzegiem jeziora zurychskiego, zbudował wygodną willę, którą nazwał Snopkowem i mieszka tam ze swoją małżonką. Rozmowa między korespondentem *Kraju* a dawnym trybunem ludowym toczyła się zrazu na tle stosunków galicyjskich. P. Lewakowski wywodził żale na Schmerlinga, że układając ordynacyę wyborczą dla Galicyi, dał przewagę w ciałach parlamentarnych żywiołom ziemiańskim: szlachcie i chłopom, a małe znaczenie przyznał żywiołowi miejskiemu, który według mniemania p. Lewakowskiego jest o wiele więcej wart politycznie i powinien byłby najwięcej posiadać mandatów. My jesteśmy oczywiście innego zdania i uważamy żywioł miejski, jako przeważnie nie polski i nie katolicki, mniej zdolnym do decydowania o rzeczach społeczeństwa polskiego i katolickiego. Ale to do rzeczy nie należy. Wracamy więc do rozmowy p. Lewakowskiego z korespondentem *Kraju*.

Dr. Lewakowski uważa siebie za twórcę partyi ludowej.

Nie biorę teraz bezpośredniego udziału w życiu parlamentarnem, ale wiem wszystko, co się dzieje w Galicyi — mówił — bo śledzę, bo interesuję się. I myślę nawet, że wiem lepiej, co się dzieje, niż gdybym siedział tam, na miejscu. Z daleka, w perspektywie, rzeczy widać w rozmiarach właściwych, omylić się trudniej. Zresztą co roku widuję się z panem Bojką, który przyjeżdża do Rapperswylu i tu w moim „Snopkowie" się zatrzymuje.

— W takim razie, sądzę, że nie wyłączoną jest możność powrotu pańskiego do politycznego życia?

P. Lewakowski machnął ręką.

— At! stary już jestem!...

Ale w tej chwili tak wyglądał młodo i tak czuć musiał sam żywotność swojej natury, że nie sposób, aby wierzył w tę wymówkę. Powiedziałem mu to szczerze. Zamyślił się.

— To już chyba wtedy, jak zaprowadzone będzie głosowanie powszechne.

Uderzyła siódma. Z dołu doleciał głos jakiś. Lewakowski podniósł się z krzesła, aby zaprosić mnie na obiad i zaprowadzić na dół, do obszernej jadalni, której okna wychodzą na jezioro zurychskie.

Poznaję panią Lewakowską; jestto Angielka z pochodzenia i musiała być w swoim czasie piękną kobietą; mówi płynnie po polsku i interesuje się sprawami polskiemi, jakby urodziła się we Lwowie.

Rozmowa toczy się dalej — teraz o młodzieży polskiej, kształcącej się zagranicą.

— Są tu w Zurychu dwa przekonaniowe odłamy, które znalazły swój wyraz w dwóch organizacyach studenckich: „Związku" i „Zjednoczeniu". Do pierwszego należą towarzystwa młodzieży patryotycznej, usposobionej radykalnie, do drugiego — towarzystwa młodzieży, wyznającej doktryny socyalistyczne. Zarząd stypendyów Ostrowskiego, przy rozdawaniu dorocznem zapomóg, zasięga opinii o kandydatach u przedstawicieli jednego i drugiego stowarzyszenia.

— Które z nich jest silniejsze?

— Radykalno-patryotyczne.

— A które ma podług pana większą przyszłość?

— Ono właśnie.

Osiedlenie się Lewakowskiego w Rapperswylu nie jest to zupełne cofnięcie się z życia czynnego, ostateczna emerytura.

— Mam tu pod ręką wszystkie pisma polskie — mówi mi — mam bibliotekę polską, złożoną z 70 tysięcy tomów, mam zbiory dokumentów do dziejów naszych, bogate bardzo, a do historyi emigracyi jedyne. Człowiek nie zapleśnieje, nie...

I opuszczając teren polityczny, oboje państwo Lewakowscy skarżyli się przedemną na pewne zło lokalne — chodzikostwo...

— To może zrazić najlepsze chęci — mówiła mi pani Lewakowska.

— „Chodzik" — to Polak, rzemieślnik najczęściej, opanowany przez manię włóczęgowską; ponieważ chodziki są z sobą najwidoczniej w porozumieniu, doskonale wiedzą, gdzie jaki Polak mieszka. Pukają też tam o pomoc, co jest rzeczą naturalną; ale takie pukanie rozlega się niemal codziennie — co staje się nieznośne. I przybrało to już formy plagi i wyzysku.

— Miło jest pomódz bliźniemu — mówi mi Lewakowski — i ja się od tego nigdy nie uchylam. Gdybym zwłaszcza miał przekonanie, iż to rzemieślnik stateczny, który odbywa swoje *wanderjahre* na dawny sposób, który zobaczy, co i jak jest na szerokim świecie, rzemiosła się douczy i do swoich wróci pracować. Ale tu większość, to jakieś indywidua zwleczone, które latami całemi obiegają świat bez rzeczywistego celu, a żebractwo uprawiają już z nałogu. Ot, w przeszłym tygodniu mieliśmy tu chodzika, który miał ośmdziesiąt lat blizko; kowal z zawodu, idzie pieszo z Galicyi do Paryża. Był już tam lat parę, potem zachorował, leżał w szpitalu i to ostatnie tak mu się podobało: „Ho, ho — powiada — jakim to ja bogaczem musiałbym być, żeby to u nas tak mnie leczono, jak tam". Mówię mu: „Toż wam już i życia niewiele". Odpowiada mi: „To co, a zawsze tam łatwiej".

Jako praktyk, mieszkający po różnych miastach Europy, pozwoliłem sobie dać radę na to „chodzikostwo":

— Jest was Polaków tu kilku, zawiążcie Towarzystwo dobroczynności; wyznaczycie stałą zapomogę dla chodzika po franku, albo po dwa najwyżej, zrobicie jednego kasyerem — i to załatwi tę sprawę, o której sam wiem z doświadczenia, że jest nieznośniejszą, aniżeli to się wydaje. W ten sposób nie pominiecie nigdy potrzebującego prawdziwie, a uwolnicie się od długich rozmów, najczęściej pozbawionych wszelkiego interesu. Kasyer zaś te kwestye załatwiać będzie krótko, kancelaryjnie: chodzik? — dokumenty — frank — z Panem Bogiem.

P. Lewakowski, żegnając mnie, odprowadził uprzejmie do drzwi i, ściskając rękę, dał mi polecenie:

— Proszę odemnie pozdrowić Warszawian — i to bez różnicy partyj.

Ukłoniłem się.

I kiedym stał już na szosie, doleciał mnie jeszcze głos:

— Powtarzam — bez różnicy partyj....

† Henryk Siemiradzki

zmarł wczoraj o godz. ½ do 1 w nocy w majątku swym Strzałkowie na Litwie. Przy zgonie jego była żona, Marya z Prószyńskich wraz z dziećmi, córką Wandą i synem Leonem. Najstarszego syna Bolesława, inżyniera-chemika w Guzowie, zawiadomiono telegraficznie o śmierci ojca. Zwłoki mistrza spoczną w grobowcu rodzinnym w Warszawie.

Śp. Henryk urodził się Grodnie 15 listopada 1843. Ojcem jego był Hipolit Siemiradzki, generał. Po ukończeniu gimnazyum, odbywał studya nad naukami przyrodniczemi w uniwersytecie w Charkowie, poczem wstąpił do akademii sztuk pięknych w Petersburgu. Akademię tę skończył z złotym medalem, który otrzymał za słynny swój obraz „Jawnogrzesznica". Obraz ten, nadesłany potem na wszechświatową wystawę w Wiedniu w r. 1873, wywołał ogólny zachwyt publiczności. Złoty medal rzadko kto dostaje w akademii petersburskiej, a to z tego powodu, że są nadzwyczaj wygórowane wymagania, jakie profesorowie stawiają do kandydata, wymagania usprawiedliwione przywilejami, które ten medal nadaje. Wychowaniec akademii, który go otrzyma, dostaje przez 3 lata po 3000 dukatów na kształcenie się w sztuce za granicą Rosyi. Siemiradzki otrzymawszy tak znakomite stypendyum, wyjechał do Niemiec, Francyi i Włoch, i tam kształcił się dalej z wielką gorliwością. W Monachium był uczniem Pilotiego. Potem osiedlił się w Rzymie, skąd obrazy jego, cenione wysoko wszędzie, rozchodziły się po całej Europie.

Malował on głównie obrazy, przedstawiające rzeczy i zdarzenia z dziejów Nowego Testamentu i ze starożytnych czasów greckich i rzymskich. Jedno z największych swych dzieł, „Pochodnie Nerona", darował Muzeum narodowemu w Krakowie. Pierwszy jego obraz, przedstawiający orgie starorzymskie, ukazał się w r. 1867. Z następnych dzieł mistrza wymieniamy najważniejsze: „Wazon czy kobieta" i „Żebrzący rozbitki", oba obrazy rodzajowe ze starorzymskiego życia, dalej obraz, przedstawiający scenę z życia Aleksandra macedońskiego i lekarza jego, Filipa, „Taniec wśród mieczów", „Chrystus u Maryi i Marty", „Fryne w Eleuzis", „Pokusa św. Hieronima", „Za przykładem bogów", „Dwa światy". Oprócz obrazów, wykonał śp. Siemiradzki szereg malowideł dekoracyjnych, jak malowidła w cerkwi Zbawiciela w Moskwie, obraz „Chrystus uspakajający wzburzone fale" w kościele ewangelickim w Krakowie, kurtyny dla teatrów we Lwowie i Krakowie. Lwowska kurtyna była ostatnią większą pracą mistrza. Od ukończenia jej pracował bardzo mało, gnębiony ciężką chorobą raka na języku, która go w końcu o śmierć przyprawiła.

Cześć jego pamięci!

Z izby sądowej.

Lwów, 25 sierpnia.

(Rozruchy uliczne).

Onegdaj o godz. 4tej ogłoszono wyrok robotnikom oskarżonym o udział w rozruchach 2go czerwca br. we Lwowie.

Skazani zostali: Sochacki na rok ciężkiego więzienia z postem co tydzień, Czop na 6 miesięcy z postem co tygodnia, dalej Boraczek, Zwarycz, Karalus, Klisiewicz, Fedak, Siudak, Mandzij, Stebełko i Wiśniewski, każdy na 5 miesięcy więzienia z postem raz w tygodniu, Słotwiński na cztery miesiące, Łokietko na 3 miesiące, również z postem co tydzień.

Wszyscy, powyżej wymienieni, zostali uznani winnymi gwałtu publicznego wśród szczególnie niebezpiecznych okoliczności (wedle § 87 u. k.) Winnymi zaś gwałtu publicznego z § 81 u. k., popełnionego przez opór wobec władzy, uznani zostali: Riss, Koralewicz i Krasnoid. Riss skazany został na dwa miesiące więzienia z postem co tydzień, Koralewicz na 4, Krasnoid na 3 miesiące takiego samego więzienia. Za rozmaite przekroczenia skazani zostali: Dutkiewicz, Zubacz i Bociora na jeden miesiąc aresztu, Pestrada na 3 tygodnie ścisłego aresztu, Jankowski, Zobalewicz, Szpyra i Padura na 14, a Deneka na 7 dni aresztu. Uwolnionych zaś zostało od winy i kary 23 oskarżonych, między nimi z tych, którzy mieli wybitniejszą rolę w procesie: Wołosecki, Löwenhaar, Telczyński, Michałejko i Skop.

Na wniosek obrońcy dra Schleichera uchwalił potem trybunał odroczyć odsiedzenie kary na zimę dwom oskarżonym: Koralewiczowi i Padurze, aby mogli sobie w lecie jeszcze coś zarobić. Wypuszczeniu na wolną stopę w tym samym celu pięciu innych skazanych, mianowicie: Słotwińskiego, Boraczka, Karolusa, Mandzija i Łokietki sprzeciwił się prokurator. Ostateczną decyzyę w tej sprawie poweźmie sąd apelacyjny. Dr. Schleicher w swojej prośbie o wypuszczenie na wolną stopę skazanych wymienił też Sochackiego i Stebełkę, ale tych uchwalił trybunał bezwarunkowo nie wypuszczać, są to bowiem notoryczni przestępcy, którzy już mnóstwo kar odsiadywali.

* * *

(Lichwiarze).

W tych dniach odbyła się przed lwowskim trybunałem rozprawa główna przeciw Langbergom i Münzerowi o występek lichwy. Ofiarami lichwiarzy byli wychowankowie 4-go roku szkoły kadeckiej. Przed trybunałem, któremu przewodniczył radzca wyższego sądu Gizowski, przesunęło się dwudziestu ośmnastoletnich kadetów, a każdy prawie temi samemi opowiadał słowami, że Langbergowie ofiarowali mu pożyczkę na tych „samych warunkach, jak panowie z 4-go roku tamtego roku .życzyli pieniądze". Były to warunki bardzo krótkie i proste. Pożyczało się 10 koron na 8 tygodni, a pisało się skrypt na 15 koron, przyczem Langberg zapewniał, że pieniądze nie jego, lecz „pana Münzera", pobierał więc po koronie lub dwie od „głowy" za pośrednictwo. Pieniądze pożyczano wyłącznie na zabawę. Sprawa wyszła przypadkowo na jaw, a komendant szkoły pułkownik Schmidt zajął się nią z całą energią; przysłuchiwał się on bacznie przebiegowi rozprawy. Oskarżeni zwalali winę wzajemnie na siebie. Langberg twierdził konsekwentnie, że majątku nie posiada wcale, a tylko na prośby Münzera naganiał mu ofiary w sidła — Münzer twierdził, że tylko na prośby Langberga z przyjaźni dla niego pożyczał pieniądze kadetom, a całą korzyść z „interesu" zabierał Langberg.

Langberga zasądzono na miesiąc ścisłego aresztu i 200 koron grzywny, zaś Münzera na miesiąc ścisłego aresztu i 400 koron grzywny.

KRONIKA.

Lwów 25 sierpnia.

Opatem klasztoru OO. Bazylianów w Buczaczu ustanowiono X. Jeremiego Łomnickiego z Krystynopola.

Słowiańskie wyścigi cyklistów odbędą się we Lwowie w dniach 7 i 8 września b. r. na torze lwowskiego klubu cyklistów. Zgłoszenia przyjmuje do dnia 3go września dyrektor toru, p. Tadeusz Gustowicz (Lwów, Akademicka 12).

Walne Zgromadzenie „Koła mielników", w którem zorganizowani są młynarze galicyjscy, odbyło się wczoraj w sali „Gwiazdy". Uchwalono na niem założyć we Lwowie centralne biuro, którego zadaniem będzie zająć się sprawami, tyczącemi się przemysłu młynarskiego i sprawami „Koła". Następnie dokonano wyboru wydziału na rok następny.

Do Truskawca przybyło w czasie od 1 do 16 sierpnia br. rodzin 242, osób 352.

Do Krynicy przybyło w czasie od 11 do 20 sierpnia br. rodzin 299, osób 429.

Miejska szkoła wydziałowa im. królowej Jadwigi, która posiada w bieżącym roku 5 klas, uzupełni się w następnym roku szkolnym klasą szóstą. Wpisy odbędą się dnia 29 bm. od godziny 11-tej do 1-szej przed południem i od 4-tej do 6 tej po południu, oraz dnia 30 bm. od 9-tej do 12 tej i od 4-tej do 6-tej. Szkoła ta ma charakter liceum z kierunkiem szkół realnych. Do klasy pierwszej mogą zapisywać się uczenice, które ukończyły z dobrym postępem 4 klasy ludowe, lub które złożą odpowiedni egzamin wstępny. Do klas następnych mogą być, o ile na to miejsce pozwoli, przyjmowane uczenice z innych szkół wydziałowych, które mają w swych świadectwach notę z języka francuskiego. W braku tej noty obowiązane są poddać się egzaminowi z tego języka. Mogą być także przyjęte prywatystki po złożeniu odpowiedniego egzaminu. Ze względów godnych uznania uczenice trzech pierwszych klas mogą, począwszy od drugiego półrocza, być uwolnione od opłaty szkolnej.

Przy zakładzie tym istnieją też kursa praktyczne, mające na celu przysposobienie do życia praktycznego. Obejmują one: 1. Trzechletni kurs robót kobiecych ręcznych (szycia białego, krawiectwa damskiego, modniarstwa i haftów). 2. Dwuletni kurs handlowy. 3. 5-ciomiesięczny kurs gospodarstwa domowego. Na tych kursach opłata wpisowego wynosi 2 korony, nadto na kursie robót i kursie handlowym czesne wynosi 40 koron rocznie, płatne w ratach miesięcznych po 4 korony. Uczenice szkoły gospodarstwa domowego płacą czesne w wysokości 20 koron, płatne w 5 ratach miesięcznych.

Na kurs w kierunku praktycznym przyjmowane będą uczenice, które ukończyły 3 lata szkoły wydziałowej. — Nowo wstępujące uczenice mają się wykazać metryką chrztu.

Sprostowanie. Przez opuszczenie kilku wierszy w korespondencyi naszej z powiatu żółkiewskiego, zamieszczonej w ostatnim numerze *Przeglądu*, wyszło, że główna zasługa przeprowadzenia sprzedaży soli w całej Galicyi w opakowanych topkach spada na dra Maciulskiego, członka żółkiewskiego wydziału powiatowego. Otóż może dr. Maciulski przyłożył także rękę cokolwiek do tej sprawy, ale szanowny nasz korespondent z powiatu żółkiewskiego pisał inaczej. Podnosił on mianowicie zasługi urzędnika Wydziału krajowego p. Miziewicza, który był inicyatorem sprzedawania soli w opakowaniu, jego pomysłu są kartony do owego opakowania służące i on tę rzecz przeprowadził. Jemu więc jedynie zawdzięczamy to, że obecnie sól sprzedawana jest w opakowaniu.

Strejki rolne. Jeden z obywateli w Zbaraskiem donosi nam, że wiadomość nasza podana za innemi pismami, jakoby strejk w tym powiecie ustał, jest mylną, albowiem strejk trwa tam jeszcze dotychczas.

Niemczyzna w Galicyi. Jeden z naszych czytelników prosi nas o zaznaczenie, że przecież niestosownem jest umieszczanie na kopertach firmowych, przeznaczonych dla Galicyi, nagłówków niemieckich, jak to czyni firma Emil Jolles we Lwowie, reprezentująca browary w Pilznie i Ołomuńcu.

Śmiertelna bójka na noże miała miejsce onegdaj w Warszawie. Wywiązała się ona między trzema złodziejami o łup z kradzieży; jeden z nich, nazwiskiem Wróblewski, przebił na śmierć swego towarzysza Zabłockiego, a drugiego, nazwiskiem Kosickiego, ciężko zranił. Wróblewskiego schwytano, Kosicki zbiegł.

Pielgrzymka ruska do Rzymu. W zeszłym tygodniu w pałacu metropolitalnym odbyła się narada ścisłego grona świeckich i duchownych Rusinów pod przewodnictwem X. metropolity Szeptyckiego w sprawie ruskiej pielgrzymki do Rzymu, w celu złożenia Ojcu św. hołdu i życzeń jubileuszowych. Uchwalono zwołać na dzień 8 września do Domu Narodnego zgromadzenie obszernego komitetu Rusinów z całego kraju, który ma zachęcić szerokie koła ruskie do udziału w pielgrzymce. X. metropolita wyda w tej sprawie specyalną odezwę. Zapowiedział też X. metropolita, że tymi dniami pojawi się list pasterski w sprawie kongregacyi *de propaganda fide*, która w ostatnich czasach była przedmiotem rozpraw na wielu soborczykach dekanalnych; omawiano mianowicie sprawę rzuconego także i do Galicyi wschodniej hasła amerykańsko-ruskich odszczepieńców: „precz z Rzymem!"

Na zebraniu dnia 8 września będzie przedłożony projekt memoryału, jaki X. metropolita ma wręczyć Ojcu św. Pielgrzymka wyjedzie do Rzymu około 20-go października; 26 go ma być przyjęta przez Ojca św. na specyalnej audyencyi.

Galerya sztuki w Pradze. *Wiener Ztg.* ogłasza pismo cesarskie, zarządzające otwarcie w Pradze galeryi obrazów, sztuki plastycznej i architektury. Prezydentem kuratoryum tej galeryi mianowany hr. Harrach, wiceprezydentem były minister dr. Baernreither; prezydentem sekcyi czeskiej poseł Kramarz, sekcyi niemieckiej rektor uniwersytetu br. Wieser.

Równocześnie pojawił się komunikat ogłaszający, że stosownie do życzenia monarchy, wypowiedzianego w reskrypcie z dnia 13 kwietnia 1901 r., by podobne galerye powstawały i w innych centrach sztuki, oddane zostaną ubikacye w dolnym Belwederze w Wiedniu celem wystawienia obrazów, które państwo przez pewien czas nagromadziło. Naprzód będą wystawione okazy archeologiczne z najstarszych epok kultury, a następnie obrazy Makarta, Klingera, Segantiniego i innych. Roboty przygotowawcze do otwarcia tej wystawy ukończone będą w październiku lub listopadzie b. r. Po upływie czterech lat te dzieła sztuki przeniesione zostaną do miejskiego muzeum, które prawdopodobnie w tym czasie będzie już ukończone i połączone będą ze zbiorami Dolnej Austryi i gminy m. Wiednia.

Telegraf bez drutu. Wczoraj przesłano pierwsze depesze między stacyami telegrafu bez drutu Sassnitz i Kołobrzeg, na odległości 170 km. Stacye te urządziła berlińska firma Siemens i Halske.

Radziwiłłowie i Hohenzollernowie. Wiadomo, że jedna gałąź rodziny książąt Radziwiłłów od XVIII wieku zamieszkała w Berlinie. Istnieją obecnie dwie linie tej gałęzi. Szefem jednej linii jest fligeladjutant cesarza Wilhelma I-go, generał ks. Antoni, ożeniony z margr. de Castellane, drugiej — prezes Koła polskiego w parlamencie niemieckim, ks. Ferdynand, ożeniony z córką Adama ks. Sapiehy.

Wobec pogłoski, że księstwo Ferdynandowie opuszczają Berlin na dobre, pewien dziennikarz berliński rozważa rolę, jaką ta „pierwotnie litewska stara rodzina szlachecka" odegrała w przeszłości Prus i pruskiego domu królewskiego.

Za dziennikiem berlińskim szczegóły te powtarzamy:

Trzykrotnie spokrewnieni byli Hohenzollernowie z Radziwiłłami przez związki małżeńskie, czwarty związek, zamierzony przez dwie młode latorośle obu tych rodów, zniweczyły nieubłagane względy polityczne i stanowi on romantyczny rozdział w bogatej w romantyczne epizody historyi Hohenzollernów.

Wszyscy dziś żyjący Radziwiłłowie wywodzą ród swój od Histicusa Radziwiłła, o którym kroniki piszą, że „był dowódzcą w mieście Wilnie na Litwie. Przyjął chrzest, a na chrzcie dano mu imię Mikołaja, około roku 1386, gdy wielki książę litewski Jagiełło stał się chrześcijaninem. Wreszcie został marszałkiem polnym i zmarł, przeżywszy przeszło 90 lat". Wnuk tego pierwszego Radziwiłła, Mikołaj III, uzyskawszy od cesarza Karola V godność księcia, widział siostrę swoją Barbarę, zaślubioną Zygmuntowi Augustowi, ostatniemu królowi polskiemu z linii Jagiellonów, wstępującą na tron królewski. Z niego w czwartej generacyi pochodził Janusz, książe na Birżach, który stał się zięciem elektora brandenburskiego Jana Jerzego i temsamem nawiązał pierwsze węzły rodzinne z domem Hohenzollernów. Z małżeństwa tego pochodzi syn Bogusław, którego wielki elektor, wuj, obdarzał wielką przyjaźnią. Wielki elektor powziął też myśl połączenia bliższego dynastyi swojej z bogatą rodziną Radziwiłłów. Postanowił on ożenić syna swego, margrabiego Ludwika, z jedyną córką księcia Bogusława, dziedziczką książęcych jego posiadłości. Przypuszczał prawdopodobnie elektor, że syn ten, z powodu słabowitości starszego brata, późniejszego pierwszego króla pruskiego, Fryderyka, przeznaczony jest na jego następcę. Myślał z tem większą przyjemnością o tej kombinacyi, że w księciu — wedle słów historyka Droysena — „odrodziła się postać ojca". Dziedziczka Birżów, Ludwika Karolina Radziwiłłówna, miała wielu, pragnących ją pojąć w małżeństwo, — a elektor musiał zwalczyć niejedną przeszkodę, nawiązać niejedną intrygę, zanim zdołał plan swój urzeczywistnić.

Wedle ówczesnego zwyczaju margrabia Ludwik i księżniczka Ludwika Karolina poślubieni sobie zostali w wieku dziecięcym: on liczył bowiem lat 14, a ona 13. I właśnie w czasie, gdy oboje dojrzeli, gdy owe małżeństwo pozorne miało się stać rzeczywistem, przerwała je nagła śmierć margrabiego. Był to srogi cios dla elektora, stojącego już nad grobem. Dnia 7-go kwietnia 1687 roku zmarł margrabia Ludwik, a stary książę był gromem tym przybity, liczył bowiem wiele na utalentowanego, mężnego i pełnego charakteru syna. W rok później podążył za synem.

Znowu ręka księżniczki Ludwiki nęciła wielu młodzieńców. Elektor pragnął zatrzymać ją dla swojego domu i zamierzył z nią ożenić syna z drugie-

go małżeństwa, margrabiego Filipa Wilhelma. Margrabia nie liczył jeszcze 18 lat, księżniczka zaś była już w wieku, w którym nie można było bez jej woli rozporządzać jej ręką. Wydała się wreszcie za południowo-niemieckiego księcia Karola Filipa z Palatynatu, a w 7-letniem pożyciu powiła mu trzy córki. Dwie z nich zmarły w kwiecie wieku za życia matki, przy powiciu trzeciej córki zmarła matka.

Jedyna córka Ludwiki Karoliny, Elżbieta, wyszła za dziedzica linii Pfalz-Schulzbach. Los jej podobnym był do losu matki. W ciągu 11-letniego małżeństwa powiła dziewięcioro dzieci, z których tylko trzy córki żyły; dziewiąte dziecko zmarło zaraz po urodzeniu, a na drugi dzień matka. Jedna z córek jej była małżonką elektora Karola Teodora, który pierwszy połączył Palatynat z Bawaryą. Najmłodsza zaś z córek była małżonką Fryderyka Michała von Zweibrücken, matką późniejszego pierwszego króla bawarskiego, Maksymiliana Józefa.

W ten sposób Radziwiłłówna była prababką bawarskiego domu królewskiego, a tem samem kropla jej krwi krąży także w żyłach austryackiej, szwedzkiej i saskiej dynastyi.

Gdy Radziwiłłowie z Hohenzollernami zawierali ścisłe związki, zmieniły się czasy znacznie. Z małego państewka brandenburskiego urosło potężne królestwo, któremu Fryderyk Wielki nadał potęgę i znaczenie. Gdy tedy synowica króla, Ludwika, córka brata jego, Ferdynanda, w roku 1796 oddała rękę księciu Antoniemu Radziwiłłowi, wielu zdawało się szczędzenie króla na to małżeństwo zagadkowem i mówiono o mezaliansie.

Jeżeli książę mimo to wkrótce wstąpił w najserdeczniejszy stosunek pokrewieństwa z resztą rodziny królewskiej i pierwsze wrażenie niewłaściwego małżeństwa minęło, było to zasługą osobistych jego przymiotów i wielkiego jego umysłu. W małżonce — nawiasem powiedziawszy, o pięć lat starszej od niego — znalazł istotę uzupełniającą harmonijnie jego żywot. Dom ich, obecny pałac kanclerza, będący przedtem własnością Schulenburgów, był ogniskiem życia artystycznego Berlina. Schodziła się w nim arystokracya rodu, nauki i sztuki na gruncie neutralnym. Szczególnie muzyka miała tu znakomity przytułek, a sam książę komponował nie bez talentu; muzyka jego do „Fausta" dziś nie straciła na wartości. „Hôtel de Radziwill" — taki napis był na pałacu — był wówczas najgłówniejszem ogniskiem kultury.

O skłonności księcia pruskiego, Wilhelma, późniejszego cesarza niemieckiego, ku Elżbiecie Radziwiłłównej, córce księcia Antoniego i księżniczki pruskiej Luizy, pisano tak wiele, że trudno o niej napisać coś nowego.

Elżbieta Radziwiłłówna nie zmarła ze zmartwienia, gdy król, ze względu na racyę stanu, nie dopuścił do małżeństwa syna z księżniczką. Zmarła ona dopiero w dziesięć lat później, na chorobę piersiową, dziedziczną w jej rodzinie i jakkolwiek było jej ciężko, przezwyciężyła się i to przezwyciężyła się do tego stopnia, że mogła stykać się z tym, którego w młodości kochała, a nawet była przyjaciółką jego żony Augusty wejmarskiej. Ciężej, niż Elżbiecie, było przebolić zawód jej matce, która odznaczała się siłą woli i rozumniejszym temperamentem, w porównaniu do delikatnej, marzycielskiej natury córki. Należy sięgnąć do wspomnień tych, którzy znali księżniczkę, jaki uszlachetniający czar wiał od tej, w pełnym rozkwicie będącej dziewczęcej, aby zrozumieć, jaką walkę stoczyć musiał z sobą książę Wilhelm, zanim się ugiął przed wolą ojca.

Nie należy jednak wątpić o tem — pisze dziennik berliński — że wola ta króla była koniecznością i błogosławieństwem. Podczas, gdy uczeni nie mogli zgodzić się co do tego, czy dom Radziwiłłów równy jest pod względem domom królewskim, a Fryderyk Wilhelm osobiście skłonnym był przyznać to małżeństwo, rozstrzygnął dwór wejmarski kwestyę stanowczo. Oświadczył bowiem, że na wypadek małżeństwa księcia Wilhelma z Elżbietą Radziwiłłówną, dzieci ich będą musiały ustąpić następstwo tronu dzieciom młodszego, z najdalej księżniczką Maryą wejmarską ożenionego księcia Karola. Okoliczność ta byłaby wywołała spór o następstwo tronu z najdalej idącymi skutkami, a wobec tego jedno tylko było wyjście: zaniechanie projektów małżeńskich.

Książę Wilhelm w ciągu długiego swojego życia obdarzał zawsze przyjaźnią krewnych tej, którą niegdyś nazywał swoją narzeczoną. Syn brata Elżbiety, książę Antoni Radziwiłł, przez długie lata był zawsze w pobliżu osoby króla, jako adjutant, przyjaciel, jako syn niemal. I jakkolwiek książę Antoni w karyerze wojskowej nie odegrał samodzielnej epokowej roli, można go nazwać za postać historyczną; on to bowiem w lipcu 1870 r. bawiąc u króla, miał dać odpowiedź parlamentarzowi Benedettiemu, która uznaną została we Francyi za kamień obrazy i po której wybuchła wojna.

W ostatniem dwudziestopięcioleciu ubiegłego wieku odwrócił się punkt ciężkości Radziwiłłów znowu więcej ku ich ojczyźnie. Byłoby to niejako zaszczytem, jeśli się tak wyrazić można, pruskiego zięcia ich historyi rodzinnej, gdyby obecnie, opuszczając berlińską swoją rezydencyę zimową, temu zwrotowi ku polityce polskiej zewnętrzny dali wyraz.

Poprzestając na tych szczegółach dziennika niemieckiego, które nie wyczerpują historyi rodziny ks. Radziwiłłów w Berlinie, ale są mniej więcej dokładne, przypomnimy tylko jeszcze, że za Bismarka Hotel de Radziwill, sąsiadujący z ówczesną siedzibą kanclerza, przez niego był uważany za główną siedzibę wrogów jego. Niejednokrotnie zanosił na to skargi do cesarza Wilhelma I-go zwłaszcza w czasie, gdy tam się odbywały ściśle polskie zebrania (...), ale zawsze bezskutecznie.

W jednej z encyklopedyi polskich przy rodzinie ks. Radziwiłłów znajdujemy objaśnienie, że berlińska linia zupełnie się zniemczyła. Otóż jest to fałsz wierutny. Nikt z tej rodziny się nie zniemczył, a autor notatki pewno pisał na domysł z pamięci, mając na myśli analogiczne wypadki w innych sferach towarzyskich. Nawet w domu tych książąt, którzy byli ożenieni z niemieckiemi księżniczkami (jak Wilhelm i Bogusław z hr. hrabiankami Clary-Aldringen, ks. Antoni z margr. de Castellane) wychowanie dzieci było zawsze polskie. Wśród ludności polskiej Poznańskiego i Prus Zachodnich zaś wiedziano zawsze, że gdy chodziło o poparcie jakiejś sprawy wprost u monarchy, to w pałacu de Radziwiłł można było zawsze, jeśli nie zawsze skuteczną pomoc, to wprost znaleść, ale chęci zawsze jaknajlepsze.

Konopnicka i Prusacy. Polacy w Poznańskiem mieli wczoraj urządzić obchód na cześć Maryi Konopnickiej, tymczasem policya pruska przeszkodziła temu obchodowi pod dość zabawnym pretekstem. Oto w wychodzącym w Pittsburgu w Ameryce *Wielkopolaninie* pojawił się był przed niedawnym czasem wiersz niejakiej Karoliny Budnikowej. Policya pruska wiersz ten nie podobał się i wskutek tego skonfiskowała wszystkie egzemplarze tego amerykańskiego *Wielkopolanina* jakie nadeszły do poczty poznańskiej. Kiedy komitet urządzający obchód ku czci Konopnickiej zgłosił się do policyi z zawiadomieniem o tym obchodzie, wówczas oświadczyła policya poznańska, że nie zezwala na ten obchód, ponieważ skonfiskowała ów wiersz Karoliny Budnikowej. Zdumiony prezes poznańskiego komitetu przytacza znane wyrażenie ludowe, mające malować jakąś niedorzeczność logiczną i pyta policyi, co za racya fizyka, że Kaśka butów nie ma. Na to odpowiada policya poznańska, że Karolinę Budnikową uważała za pseudonim Maryi Konopnickiej i że Marya Konopnicka po konfiskacie *Wielkopolanina* powinna była napisać do policyi poznańskiej i uprzedzić ją, że nie jest Karoliną Budnikową i że pod tym pseudonimem nie pisuje. Skoro zaś tego nie uczyniła, nie może żądać, aby na jej cześć urządzano obchody.

Zaprawdę, są to już majaczenia gorączkowe.

Rozumny konkurent. Kapitanowi amerykańskiego parostatku, odpływającego z Liwerpolu do Nowego Jorku, oddano w opiekę młodą panienkę, która swą pięknością zawróciła w głowie pięciu młodym towarzyszom podróży. Chętnie wyszłaby za mąż; ale jakże miała sobie poradzić, skoro konkurentów było aż pięciu i każdy prosił o jej rękę. Zwierzyła się więc kapitanowi ze swego kłopotu. Kapitan, stary wilk morski, rzekł po namyśle:

— Dam pani radę; mamy dziś prześliczną pogodę i ciszę morską. Niech się pani rzuci do morza, niby przypadkiem. Ja zawczasu przygotuję łódkę ratunkową. Może więc pani być pewną, że się jej nic złego nie stanie.

— Ale do czegóż to wszystko? — zapytała panna.

— Na to — odrzekł kapitan — aby pani z pięciu kandydatów obrała tego za męża, który bez namysłu rzuci się za panią w morze; będzie to najoczywistszy dowód prawdziwej miłości.

Myśl ta przypadła do gustu podróżnej. Wkrótce potem, stojąc na pokładzie, otoczona swoimi wielbicielami, przedarła się przez poręcz i — wpadła w toń morską.

Atoli w programie zaszedł zwrot niespodziewany: zamiast jednego, rzuciło się czterech na ratunek. Ci wydobyli ją z wody i weszli na pokład; osobliwie przedstawiała się podróżnym ta czwórka młodych, przemokłych ludzi.

Wtedy zmoczony przedmiot ich nieprzemokłego uczucia zwrócił się do kapitana ze słowy:

— Kapitanie, jestem w rozpaczy; aż czterech rzuciło się za mną; co mam teraz czynić?

— Jeżeli pani chce mieć rozumnego męża — odparł kapitan po namyśle — to radzę szczerze, niech pani poślubi tego piątego, który został na pokładzie.

Młoda podróżna poszła za radą kapitana.

Fantazya reporterów dziennikarskich. Jeden z humorystów naszych przedstawia w sposób bardzo dowcipny, do jakich rozmiarów urastają w prasie, a zwłaszcza zagranicznej, najprostsze fakta, które się u nas wydarzą. I tak pewnego razu jakiś młody człowiek chciał zjeść śniadanie w restauracyi „Pod gruszką" o bardzo wczesnej porze. Ponieważ restauracya ta była jeszcze zamknięta, więc pukał do okien i stukał do drzwi, przyczem rozbił jedną szybę i odłamał klamkę. Przechodzący policyant zabrał go z sobą na policyę celem spisania protokołu. Fakt ten opisany był nazajutrz w jednem z polskich pisemek radykalnych w następujący sposób:

Waryat, rzezimieszek, czy też ktoś inny? Donoszą nam: Jakiś młody człowiek, dosyć schludnie ubrany, szturmował poprzedniej nocy do jednej z pierwszorzędnych restauracyi, przyczem wyłamał drzwi i powybijał z okien szyby, a ze snu spracowanych mieszkańców. Okoliczności, w jakich był ten wandalizm dokonany, każą domyślać się, że sprawcą był przedstawiciel t. zw. złotej młodzieży, która, utraciwszy majątek za granicą, powraca do kraju w celu szukania tanich wrażeń dla rozstrojonych hulatyką nerwów. Pięknie się panowie bawicie! Hańba! Zapytujemy się, gdzie były podówczas organa bezpieczeństwa, na które składa ludność grosz krwawo zapracowany? Hańba!

Berliner Tageblatt przedstawił sprawę w cokolwiek innem świetle w depeszy pod tytułem: „Neue Judenmassacre in Polen": „Szlachta polska, rządząc się istotnie szatańską polityką, chciała odwrócić uwagę publiczną od coraz więcej szerzących się strejków, spowodowanych tem, że robotnikom rolnym płacono najwyżej po 4 ct. za dzień roboczy, w niektórych zaś okolicach po 2 ct., a nawet niekiedy robotnicy zmuszani byli do dopłacania znacznych sum za pozwolenie pracowania na obszarach dworskich. Szlachta więc w strachu o siebie zorganizowała okropną rzeź żydów, tej najkulturniejszej warstwy mieszkańców Galicyi. Rozjuszony tłum pod wodzą takich wyrzutków społeczeństwa, jak pp. Halicki, Maryacki i Krakowski, zniszczył całą dzielnicę żydowską, zwaną Gruschka, mordując starców, kobiety i dzieci. Pewnej zacnej damie zabito w jej oczach szesnaście jej własnych niemowląt, a gdy prosiła, aby choć ostatniemu darowano życie, rozbestwiony słowiański motłoch zabił nie tylko dziecko, ale i matkę, jak nam z wiarogodnego źródła donoszą".

A teraz posłuchajmy jak dzienniki francuskie fakt ten przedstawiły. Oto, co pisał *Petit Journal*:

„W mieście rosyjskiem Lwoff wybuchł dawno wygasły wulkan, zwany Mont-Grouchka, zalewając lawą i zasypując popiołem prawie całe miasto. Z milionowej ludności zaledwie kilka tysięcy zdołało się uratować szybką ucieczką na stojące w porcie okręty. Znany rosyjski geolog, p. Przemislowy, utrzymuje, że wybuch ten jest w związku z katastrofą na Martynice. Byłby to nowy dowód, że w dwóch krajach, złączonych nierozerwalną, miejmy nadzieję, przyjaźnią, bije jedno tętno".

Zmarli. Ks. Małgorzata wirtembergska umarła wczoraj w Gmunden. — W Warszawie zmarł wczoraj rano Sokrates Starynkiewicz, były prezydent m. Warszawy, urodzony w r. 1820. Był on Rosyaninem, ale jednym z najzacniejszych ludzi. Jako prezydent Warszawy położył wielkie zasługi. Pracował szczerze nad rozwojem i podniesieniem tego miasta. Wiele inwestycyi i reform sanitarnych Warszawa jemu zawdzięcza. Przyczynił się też w znacznej mierze do wykorzenienia złodziejstwa wśród urzędników rosyjskich w Warszawie. W Petersburgu był on dobrze widzianym i posiadał tam znaczne wpływy, to też był w stanie zrobić dla Warszawy o wiele więcej, niżby to zdołał ktokolwiek inny. W Warszawie cieszył się sympatyą i uznaniem; śmierć jego wywołała powszechny żal.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części wieży klasztoru w Częstochowie nadesłała p. Helena Szymonowicz z Dubowiec na Bukowinie (z prośbą o Mszę świętą za duszę Matki Katarzyny) 4 K., Karolina Gorzyńska z Sambora (z błaganiem do N. M. P. o uzdrowienie ciężko chorej matki) 2 K.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 12, w poł. + 19 R. Bar. 768. Spada. Pogodnie.

Syn puszczy.

— Ten Leosz, to prawdziwy „Syn puszczy".

— Dlaczego on potrzebuje być syn puszczy?

— Bo co iego ojciec zarobi, to on zaraz „puszczy"

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w poniedziałek po raz 6ty „Simpliciusz" operetka w 3 aktach J. Straussa. — We wtorek „San Toy" operetka w 3 aktach Sidney Jonesa. — We środę „Jabuka" operetka w 3 aktach J. Straussa. — We czwartek „Piękna z Nowego Jorku" operetka w 3 aktach (5 odsł.) G. Kerkera. — W piątek „Fatinica" operetka w 3 aktach Souppe'go.

Literatura i sztuka.

* **Przewodnik artystyczny** księgarni H. Altenberga we Lwowie. Ułożył i w krótkie objaśnienia historyczne zaopatrzył Adam Cybulski. Nakładem księgarni Altenberga. 1902.

Lwowska księgarnia Altenberga posiada w swych murach osobny dział sztuki, obejmujący wszystkie artystyczne reprodukcye wybitniejszych obrazów mistrzów klasycznych i współczesnych. Aby ułatwić publiczności zoryentowanie się w tem, co dotąd jest reprodukowane i zwrócić uwagę na malarzy różnych narodowości, epok i szkół, wydała księgarnia powyższy katalog, który zaopatrzony jest w treściwy, historyczny pogląd na dzieje malarstwa. Silny nacisk w tym katalogu położono na malarstwo polskie, jakkolwiek reprodukcyi obrazów polskich jest dotąd stosunkowo szczupła ilość. Autorem katalogu a raczej przewodnika, jest p. Adam Cybulski: objaśnienia jego świadczą o rzetelnem znawstwie sztuki. „Przewodnik artystyczny" zawiera jako próbki malutkie reprodukcye słynnych obrazów a drukowany jest na ślicznym papierze: dlatego obok swego właściwego przeznaczenia, może też służyć za ozdobę każdego salonu.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 23 sierpnia.

(Z). Rokowania ugodowe z Węgrami jeszcze nieskończone. Urzędowy komunikat o wczorajszej konferencyi donosi, że mimo, iż znów zbliżono się o krok dalej do celu, pozostało jeszcze wiele punktów spornych i że za kilka dni pojadą austryaccy ministrowie do Pesztu celem dalszych pertraktacyi. Wiadomość ta oddziałała niekorzystnie na giełdę, a ponieważ nadto spekulanci zaczynają już myśleć o likwidacyi miesięcznej, przeto brakło wszelkiej inicyatywy. Ku końcowi obrotów dopiero ożywił się nieco ruch w niektórych walorach pod wpływem zakupów, uskutecznianych przez arbitraż na rachunek Berlina. Stosunkowo największą zwyżkę uzyskały akcye Towarzystwa żeglugi na Dunaju, gdyż ruch towarowy, a zwłaszcza zbożowy na Dunaju zarówno w stronę morza Czarnego jak i w górę rzeki rozwija się w całej pełni. Gotówki jest na targu nadzwyczajna obfitość i ofiarowano ją dziś pierwszorzędnym firmom na $2^1/_4$%, mimo tak dogodnych warunków zeskontowano na targu tylko niewiele weksli i to na stosunkowo drobne kwoty.

Na uwagę zasługuje ruch na targu rent, a specyalnie to, że zaniedbana od tak dawna $3^1/_2$-procentowa renta inwestycyjna, zwolna wysuwa się na pierwszy plan i jest przedmiotem znacznego pokupu. Za austryacką płacono dziś 91·30, za węgierską 90·40. Mimo tego znacznego podwyższenia jest jednak obecny kurs renty inwestycyjnej zawsze jeszcze prawie o 2% niższej od tego kursu, po którym ją wprowadzono w obieg. Austryacką rentę inwestycyjną wprowadził minister finansów dr. Biliński w roku 1897. Grupa Rotszyldowska objęła ją od rządu po kursie 92 za 100, a publiczności ofiarowała ją po $93^1/_2$. Najwyższy kurs jej na giełdzie wynosił 93.55, następnie jednak spadł aż na 82·15. Węgierską rentę inwestycyjną wprowadzono również w roku 1897 za pośrednictwem grupy Rotszyldowskiej, która objęła ją po $91^1/_2$, a publiczności ofiarowała po $92^1/_2$. Wyższego kursu nad ten nie miała ona nigdy, najniższy zaś kurs jej wynosił 80·—. W każdym razie jestto objawem znamiennym, że mimo tak niskiej stopy procentowej jaką mamy obecnie, kapitaliści nie mogą się jakoś oswoić z $3^1/_2$ procentową rentą i żadną miarą nie chcę zbliżyć jej kursu do pari.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 683·00, węg. Zakł. kredyt. 726·00, Anglobanku 276·00, Unionbanku 539·00, Länderbanku 420·00, Bankvereinu 454·50, Bodencredit 928·00, Gal. Banku hip. 540·00, Statsbahny 717·50, Lombardy 67·50, Kol. Elbethal 466·00, Północnej 5700, Czerniowieckiej 000·00, Alpiny 398·00, Rima Muranyi 504·00, Praskiego Tow. żel. 1517, Fabryki broni 000·00, Tureckie tytoniow. 312·00, Oblig. węg. indemniz. 97·60, Renta majowa 101·70, Austr. renta koronowa 100·10, Węgier. renta koronowa 97·90, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·40, 4% Listy Banku krajow. 97·00, $4^1/_2$% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, $4^1/_2$% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·30, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 97·25, 4% Poż. m. Lwowa 94·10, Losy tureckie 111·00, Marki 117·08, Ruble 252.75.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(*Depesze dzisiejsze poranne*).

Wiedeń 25 sierpnia. O sobotnich konferencyach ministeryalnych wydano ze strony austryackiej i węgierskiej następujący, równobrzmiący komunikat:

„Wspólne konferencye ministeryalne trwały w sobotę, podobnie jak w piątek, przez cały dzień, od godziny 9 rano do godziny 8 wieczorem z dwugodzinną przerwą w południe. W konferencyach brali udział, oprócz obu prezesów gabinetu, także obustronni ministrowie handlu, rolnictwa, a popołudniu także obustronni ministrowie skarbu, którzy przed południem konferowali osobno nad rozmaitemi sprawami ich wydziałów; podobnie jak w piątek, także i w sobotę przypuszczano do obrad obustronnych referentów fachowych, a obrady tyczyły się głównie ustalenia nowej autonomicznej taryfy celnej.

Po oddaleniu się referentów fachowych obaj prezydenci ministrów w obecności wymienionych wyżej ministrów prowadzili obrady jeszcze przez godzinę. W rozmaitych ważnych punktach osiągnięto porozumienie, w wielu innych zaś zbliżono się wzajemnie, jednak zapatrywania co do licznych pozycyj jeszcze znacznie się rozchodzą, tak, iż okazuje się niezbędnym dalszy ciąg rokowań w tym kierunku. Odbędą się one w najbliższych dniach w Budapeszcie. Węgierscy ministrowie opuścili Wiedeń w sobotę wieczór."

Neue Freie Presse donosi o szczegółowych rezultatach sobotnich konferencyj ministeryalnych między innemi: Oprócz taryfy celnej omawiano także konwencyę weterynaryjną, a ministrowie skarbu omawiali między sobą sprawy podatkowe. — Co do taryfy celnej, osiągnięto co do niektórych jej części zbliżenie, ale co do ważniejszych pozycyj nie można było usunąć zachodzących sprzeczności, a wskutek tego układy nie mogły być zakończone. Na sobotniej konferencyi najbardziej spornym przedmiotem były cła na maszyny; nie dało się usunąć różnic także co do ceł na wyroby przemysłu tkackiego i na wyroby żelazne. Różnice co do tych pozycyj są jeszcze bardzo wielkie i żadne argumenta nie zdołały skłonić w sobotę Węgrów do ustępstw. Co do tych spornych pozycyj nawet w sobotę nie wchodzono jeszcze w szczegółowe obrady, lecz omawiano przedmiot grupami. Zapowiedziane konferencye w Budapeszcie będą miały na celu doprowadzić do porozumienia w spornych punktach.

Rezultaty obrad na innych polach są korzystne. Co się tyczy konwencyi weterynaryjnej, to już w czasie dawniejszych obrad fachowych referentów ułożono zasadnicze zarysy reformy weterynaryjnych przepisów na Węgrzech. Referenci węgierscy oświadczyli wówczas gotowość do zawarcia porozumienia, na podstawie którego zaostrzonoby kontrolę weterynaryjną na granicy i węgierskie przepisy weterynaryjne zreformowanoby w duchu nowożytnym. Otóż układ ten zawarto i w sobotę chodziło tylko o to, aby także ministrowie fachowi układ ten aprobowali, ponieważ dotychczas był on zawarty tylko między fachowymi referentami.

Także w sprawach podatkowych osiągnięto bardzo znaczne zbliżenie się. Najważniejszy przedmiot rokowań stanowiła kwestya uwolnienia węgierskich papierów państwowych od austryackiego podatku rentowego. Ułożono się co do sposobu i warunków, pod jakimi to się ma stać, a Węgry zniosą w zamian za to podatek transportowy od towarów, przewożonych drogami wodnemi, i mają poczynić jeszcze inne koncesye. Ułożono się także co do opodatkowania komisyjnych składów towarów.

Poznań 25 sierpnia. Naczelny prezydent W. Ks. Poznańskiego Bitter w tych dniach ustąpi z posady, a miejsce jego zajmie tajny radzca Conrad, szef kancelaryi kanclerskiej.

W sobotę toczyła się tu rozprawa o obrazę cesarza Wilhelma przeciw redaktorowi *Dziennika Poznańskiego* Ludwikowi Hojnackiemu, z powodu artykułu zatytułowanego „Polnische Frechheit und sarmatische Anmassung", omawiający mowę malborską. Trybunałowi przewodniczył dyrektor sądu ziemskiego dr. Felsman. Pomimo świetnej obrony adwokata Zygmunta Dziembowskiego, trybunał po przeszło półgodzinnej naradzie zasądził Hojnackiego w myśl wniosku prokuratora na 3 miesiące więzienia i koszta procesu. Rozprawa odbyła się z wykluczeniem publiczności.

Paryż 25 sierpnia. Według urzędowego doniesienia, 47 rad generalnych przysłało rządowi powinszowanie z powodu przeprowadzenia ustawy o kongregacyach. 13 rad uchwaliło rezolucye za otwarciem ponownem pozamykanych szkół, 13 zaś odrzuciło podobny wniosek; dwie rady oświadczyły się za wolnością nauczania, 3 rady odrzuciły podobny wniosek; 4 rady wyraziły swe ubolewanie z powodu zamykania szkół, 5 rad podobny wniosek odrzuciło.

Nowy Jork 25 sierpnia. Prezydent Roosevelt wygłosił mowę w Providence (Rhode-Island), w której rzekł, że zarzuty czynione trustom są nieusprawiedliwione. Trusty i ringi w świecie przemysłowym są tak samo potrzebne, jak organizacye w świecie robotniczym. Zło obecne jest skutkiem złego systemu w ustawodawstwach, a raczej może zupełnego braku systemu, któryby umożliwiał rządowi sprawowanie należytej kontroli nad trustami.

Paryż 25 sierpnia. Rzymski korespondent tutejszego dziennika *Temps* pisze, że Papież oczywiście pochwala opór, jaki ludność katolicka Francyi stawia zamykaniu szkół kongregacyjnych i rozwiązania kongregacyi, ale nie podoba się Ojcu św. teatralna forma tego oporu Papież wolałby, ażeby katolicy udawali się na drogę sądową. Jeden korzystny wyrok sądowy byłby więcej wart, niż cała ta wrzawa, zwłaszcza, że należy się obawiać, iż obecne manifestacye na rzecz zakonów okażą się tylko ogniem słomianym.

Berlin 25 sierpnia. W tutejszych kołach dyplomatycznych opowiadają, że król Alfons XIII niebawem przybędzie do Berlina; ma on też złożyć wizytę Cesarzowi austryackiemu w Wiedniu.

Król Edward VII pojedzie w zimie do Cannes i do Włoch, a podobno na wiosnę odwiedzi Paryż.

Berlin 25 sierpnia. *Tägliche Rundschau* zwraca uwagę na to, że w Górnych Łużycach agitatorzy czescy z Pragi wywołują ruch narodowy Wendów, którzy dotychczas czuli się Niemcami. Wielu studentów wendyjskich uczęszcza obecnie na czeski uniwersytet w Pradze.

Szanghaj 25 sierpnia. List pomocnika misyjnego, Chińczyka, potwierdza wiadomość o zamordowaniu dwóch angielskich misyonarzy, nazwiskiem Bruce i Lewis, w prowincyi Hunen. Zachłostano ich na śmierć.

Petersburg 25 sierpnia. Rosyjskie ministerstwo marynarki zarządziło, aby wszystkie materyały używane do budowy i naprawy okrętów były pochodzenia rosyjskiego. Dla statków znajdujących się za granicą na obcych wodach poczyniono pewne wyjątki.

Wiedeń 25 sierpnia. Tutejsi trafikanci, czując się pokrzywdzonymi przez projektowane zniesienie zakazu kolportażu, gdyż przez to byliby narażeni na olbrzymią konkurencyę w sprzedawaniu gazet, zamierzają zwołać ogólny wiec trafikantów do Wiednia, celem przedłożenia Radzie państwa i rządowi odpowiednich petycyi.

Königgrätz 25 sierpnia. Wczoraj rozpoczął się tu zjazd katolików czeskich. Bierze w nim udział przeszło sto stowarzyszeń, a przeszło 6000 osób. — Stowarzyszenia liberalne zamierzają urządzić kontrdemonstracyę. Celem zapobieżenia zajściom władze zarządziły odpowiednie środki ostrożności.

(*Depesze popołudniowe*).

Paryż 25 sierpnia. Zmarł tu Edmund Potonie, znany propagator idei powszechnego pokoju.

Mannheim 25 sierpnia. Odbył się tu 49-ty powszechny zjazd niemieckich katolików. W pochodzie uczestniczyło 170 stowarzyszeń, około 20.000 osób, ze wszystkich stron Niemiec.

Praga 25 sierpnia. Uczestnicy odbytego wczoraj w Kralowym Hradcu zjazdu katolików wysłali telegramy do Papieża i Cesarza. W zjeździe brało udział 10.000 osób. Stowarzyszenia socyalistyczne z miasta i okolicy urządziły jako kontrdemonstracyę wielkie zgromadzenie ludowe, na którem zebrało się jednak tylko 1.000 osób.

Kraków 25 sierpnia. Z powodu śmierci Henryka Siemiradzkiego zarządził prezydent miasta wywieszenie chorągwi żałobnych z gmachu magistratu, wieży ratuszowej i muzeum narodowego. Na godz. 6-tej wieczorem zwołał prezydent poufne zebranie rady miejskiej celem uczczenia pamięci znakomitego malarza.

Grac 25 sierpnia. Dzisiejsze obrady rozpoczęły się o godz. 9. Przemawiał w dalszym ciągu prez. Tchórznicki naprzemian z radzcą dworu Kornem. Przedłożyli oni bardzo dużo map.

Kraków 25 sierpnia. Bawi tu 140 osób z Przemyśla i okolicy, podążających pod kierunkiem komitetu Towarzystwa szkoły ludowej, w pielgrzymce do Kalwaryi. Udaje się tam również 100 włościan z Księstwa Poznańskiego. Wielkopolanie i Przemyślanie zwiedzali dziś kościoły i pamiątki.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 25 sierpnia. Hr. W. Mycielski z Łuczanowicy. Hr. F. Rumerskirch z Borysławia. K. Winnicki z Turad. H. Zakliczyna z Izdebnika. J. Schnirch z Czerniowiec. Cz. Łoziński i M. Gałecki z Kijowa. A. Misiągiewicz z Sanoka. J. Mańkowski z Podola ros. Ch. Altchewsky z Charkowa. M. Zieleński z Strutyna. A. Ribicki, M. Połopów i M. Bernstein z Wołoczysk.

HOTEL EUROPEJSKI

Przyjechali dnia 25 sierpnia. Hr. A. Broel Plater z Hłuboczka Wielkiego. Br. M. Rayska z Czeremchowa. A. Zaremba Cielecki z Hadyńkowic. St. Pawlikowski z Bereźnicy Królewskiej. J. Foremnowie z Krakowa. Dr. Czykaluk z Tarnopola. W. Tomżyński z Krasiczyna. Dr. Fuchs i H. Wolf z Wiednia. Dr. H. Schätzel z Brzeżan. M. Cieński z Łośniowa. Fr. Müller z Uścia. Fr. Sozański z Sozania. Dr. Mandl z Tarnopola. O. Barbag z Pragi.

HOTEL FRANCUSKI.

Przyjechali dnia 25 sierpnia. K. hr. Orłowski z Rosyi. L. br. Wattmann z Rudy Rożanieckiej. F. Kasparek z Krakowa. J. Wojciechowscy z Zatora. S. Krimmezowie z Odesy. T. Wojnarowski z Baliniec. E. Hiolscy z Raju. A. Izierski z Przemyśla. S. Szostkiewiczowie z Warszawy. A. Wecera z Pragi. W. Dubieńska z Zakliczyna. W. Jaworkowie z Tłustego. K. Bestrzycki ze Złoczowa. R. Heppener z Radziwiłłowa. S Koryłowicz z Rohatyna. S. Sternschel z Horodenki. P. Appenzeller z Czerniowiec. S. Maged z Bielska. R. Maul z Kronenberga. N. Narzymski z Okocima. K. Paiacowa z Berdyczowa.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30). Wiedeń 25 sierpnia.

Marki 117.08, renta majowa 101.75, węg. renta koronowa 97.90. Akcye: austr. zakł. kredyt. 683.25, węg. zak. kred. 726.00, anglobanku 276.50, unionbanku 539.—, bankvereinu 455.00, länderbanku 421.—, kolei państw. 718.25, lombardy 68.50, akcye kolei Elbethal 467.00, fabryki broń. —.—, tytoniowe 315.50, alpiny 397.00, Rima Muranyi 503.00, pragskiego Tow. żel. —·—, losy tureckie 111.75, ruble 253·00. Usposobienie spokojne.

Wiedeń 25 sierpnia. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3%	266 50
„ „ „ „ „ „ 1889 3%	263 —
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5%	285. —
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4%	254 80
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2%	90.—
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.	110 75

Wiedeń 25 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 6·86—6·87, na wiosnę 7·16—7·17; żyto na na jesień 6·16—6·17, na wiosnę 6·39—6·40; kukurudza na lipiec-sierpień 5·50—5·51, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·50—5·51, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·72—5·73, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 10·70—10·80. Olej rzepakowy 00—00. Tendencya: pszenica słabo, kukurudza ustalona, zresztą spokojna. Pogoda: piękna.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2·31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50.
Z Rzeszowa: 10·26.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·35, 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 3.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele i święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*.
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9·20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 3.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

7)

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

Tuż za plecami usłyszała znowu kichnięcie; odwróciła się i ku wielkiemu swojemu zdziwieniu spostrzegła, że Hall jest jeszcze na schodach. Po chwili jednak był już przy niej. Nachyliła się, powiodła ręką po ubraniu i po pościeli.

— Chłodna...— oświadczyła.—Wyszedł przed godziną conajmniej.

Nagle zdarzyło się coś dziwnego. Kołdra podskoczyła w górę, potem opadła, tak zupełnie, jak gdyby jakaś ręka niewidzialna odsłoniła łóżko i zakryła je zaraz. W tejże chwili kapelusz nieznajomego, leżący na łóżku, podskoczył i uderzył panią Hall; potem podskoczyła gąbka, następnie krzesło z ubraniem nieznajomego zawirowało w powietrzu; ubranie spadło na ziemię, cztery nogi drewniane zawisły groźnie nad głową pani Hall.

Gospodyni krzyknęła, krzesło uderzyło ją w plecy i wypchnęło za drzwi, w ten sam sposób obszedłszy się z jej małżonkiem.

Wylecieli oboje. Za nimi drzwi trzasnęły; ktoś zamknął je na klucz z wewnątrz... Potem słychać było piekielny harmider, jak gdyby tryumfalny taniec łóżka ze stołkami, wreszcie zapanowała cisza.

Pani Hall omdlała, wpadając w rozstawione ramiona swego małżonka.

Przy pomocy Millie, obudzonej tym hałasem, zdołał on znieść tłustą jejmość na dół i zastosować zwykłe środki, używane dla przywrócenia zmysłów damom.

— To duchy!.. To nic innego, tylko duchy!... — mówiła ocucona pani Hall. — Czytałam o tem w gazetach... Wiem... stoły i krzesła podskakują i chodzą po powietrzu!...

— Napij się jeszcze trochę, Joasiu, to cię pokrzepi... — namawiał Hall, dolewając jej gin'u.

— Zamknij go! — krzyknęła nagle. — Niech on mi się nie pokazuje na oczy!... Powinnam była domyśleć się... Takie oczy straszne i głowa owinięta... i nigdy nie chodził do kościoła... I te flaszki... tyle flaszek... Na co to porządnemu człowiekowi?... Powpuszczał duchy w moje meble!... Takie porządne, wysłużone meble!... Moja matka siadywała na tem krześle, jak byłam jeszcze dzieckiem... I pomyśleć, że to samo krzesło zamierzało się na mnie i podnosiło nogi!...

— Jeszcze kropelkę, Joasiu, dla uspokojenia nerwów...

Posłali służącą po p. Sandy Wadgers, kowala.

— P. Hall kłania się — mówiła — a meble na górze stają dęba... Może pan do nas zajdzie?...

Pan Wadgers był człowiekiem bywałym i wielce pomysłowym. Zmiarkował odrazu, co się święci.

— To są czary... — oświadczył. — Nic nie pomoże, trzeba zawiesić na sznurku podkowę...

Małżonkowie chcieli, żeby poszedł na górę, ale jemu nie było pilno. Wolał wypytywać: jak to właściwie było?

Do rozmowy przyłączył się obudzony wrzawą pan Huxter, właściciel dystrybucyi z przeciwka. Anglo-saksoński zmysł parlamentarny ujawnił się w pełni: było dużo gadaniny... bezowocnej.

— Rozważmy naprzód fakty... — mówił pan Sandy Wadgers. — Zastanówmy się, czy mamy prawo otwierać drzwi przemocą...

Nagle drzwi pokoju na górze otworzyły się same. Zebrani na naradę zobaczyli schodzącą ze schodów postać w płaszczu, kapeluszu i w ciemnych okularach.

Nieznajomy przeszedł przez sień i stanął.

— Patrzcie!... — rzekł.

Oczy zgromadzonych poszły w kierunku jego wyciągniętego palca i ujrzały butelkę salsaparilli, stojącą przy drzwiach od piwnicy.

Wymówiwszy to słowo, nieznajomy wszedł do bawialni i zamknął im drzwi przed nosem, bezlitośnie, złośliwie. Milczeli, aż dopóki zgrzyt klucza nie przebrzmiał.

— Nie... to przechodzi ludzkie pojęcie! — odezwał się wreszcie pan Wadgers. — Wejdź pan, zażądaj wyjaśnienia... — rzekł do pana Hall.

Mąż oberżystki niełatwo zrozumiał, co ma zrobić, a gdy mu to przełożono wyraźniej, namyślał się; dopiero popchnięty przez żonę, otworzył drzwi i zaczął:

— Przepraszam...

— Idź pan do dyabła i zamykaj drzwi za sobą!...—huknął nieznajomy głosem grzmiącym.

Tak się skończyła ta krótka rozmowa.

ROZDZIAŁ VII.

Nieznajomy przedstawia się pod inną postacią

Nieznajomy wszedł do bawialni około wpół do szóstej i pozostał w niej do południa, przy drzwiach i okiennicach zamkniętych. Nikt po rozprawie gościa z Hallem nie śmiał się zbliżyć do drzwi.

Przez cały ten czas Nieznajomy był naczczo. Dzwonił trzy razy, za każdym razem silniej i niecierpliwiej, ale nikt nie przychodził na wezwanie.

— Niechaj mu dyabeł służy, skoro innych do dyabła wysyła!... — mruczała pani Hall.

Tymczasem rozeszła się wieść o kradzieży na probostwie i zaczęto wyprowadzać wnioski i fakty zestawiać.

Hall, wziąwszy sobie na pomoc kowala Wadgers, udał się do sędziego śledczego, pana Shuckleworth, aby zasięgnąć jego rady.

Co przez ten czas robił gość — niewiadomo. Chwilami chodził po pokoju, to znowu dolatywały z bawialni groźne pomruki i przekleństwa, tłuczenie butelek, szelest papierów, rozdzieranych ręką niecierpliwą.

Zbiorowisko przed gospodą zwiększało się z każdą chwilą. Nadeszła pani Huxter, przybiegli młodzieńcy, wystrojeni w nowe kurtki i barwne krawaty. Pytania i odpowiedzi krzyżowały się, napełniając powietrze wrzawą.

Dzień był śliczny. Mieszkańcy Iping stroili ulice we flagi, nadając im pozór świąteczny; przed kuźnią roztasowało się kilka wózków barwy czekoladowej; przywiozły one wędrownych sztukmistrzów i komedyantów.

Nieznajomy miotał się w zacisznej bawialni, nie mogąc się doczekać przyjścia oberżystki.

Około południa otworzył nagle drzwi. Kilka osób stało przy ladzie szynkownej.

— Pani Hall! — zawołał.

Mąż jej jeszcze nie wrócił.

Ktoś z obecnych pobiegł po gospodynię. Ukazała się po chwili z groźnem obliczem. Weszła, niosąc niezapłacony rachunek na tacy i spytała:

— Pan zapewne chciał płacić?...

— Dlaczego nie dostałem śniadania? Dlaczego pani nie przychodzi, gdy dzwonię?...

— Dlaczego mój rachunek niezapłacony?... — odpowiedziała mu pytaniem pani Hall.—Chciałabym się wpierw o tem dowiedzieć...

— Mówiłem pani przed trzema dniami, że oczekuję przekazu.

— Możesz pan poczekać kilka godzin na śniadanie, jeżeli ja czekam kilka dni na moją należność. Prawda?...

Nieznajomy zaklął krótko, ale siarczyście.

— Prosiłabym pana, abyś schował swoje przekleństwa dla siebie... — rzekła pani Hall z godnością.

Nieznajomy był rozwścieczony. Wszyscy obecni widzieli, że pani Hall odnosi nad nim przewagę. Sam dał tego dowód, przemawiając z innego tonu.

— Moja dobra pani... — zaczął.

— Proszę mi nie wyjeżdżać z „dobremi paniami“. Ja jestem sobie pani, bez dobroci...

— Chociaż mój przekaz jeszcze nie nadszedł...

— Nie zawracaj pan głowy z przekazami!...

— Znalazłem jednak w kieszeni...

— Mówiłeś mi pan przed trzema dniami, że masz przy sobie tylko drobniejszą monetę...

— Znalazłem więcej.

— Doprawdy?... — zawołała pani Hall drwiąco.

To rozdrażniło Nieznajomego.

— Co znaczą te drwiny?... — krzyknął.

— Zanim panu dam śniadanie — odparła — zanim wezmę pieniądze, musisz mi pan wpierw objaśnić parę rzeczy, których i ja nie rozumiem i nikt zrozumieć nie może, a wszyscyby chcieli. Więc naprzód: co pan zrobił moim krzesłom na górze i dlaczego pański pokój był pusty, a także jakim sposobem wszedłeś pan do niego?... Moi goście zwykli wchodzić przez drzwi, a kto wchodzi inaczej, ten powinien się wytłómaczyć. Chcę i muszę wiedzieć, jak się pan tutaj dostał? A chcę także dowiedzieć się...

Nieznajomy tupnął nogą i zawołał: „Milczeć!“ takim głosem, że wszyscy się przelękli.

— Nie wiecie, kto ja jestem i czem jestem!... — mówił. — Ja wam zaraz pokażę...

Powiódł ręką po twarzy — cofnął dłoń. Ukazała się czarna pustka...

— Patrzcie... — rzekł.

Wystąpił naprzód i podał pani Hall jakiś przedmiot, który ona wzięła automatycznie. Ale zobaczywszy, co to jest, wypuściła z rąk i krzyknęła przeraźliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).